DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



RYS. PATRYK KOCH, FOT. ZYGMUNT AJDUKIEWICZ, 1892, STRACH NA WRÓBLE/WMUZEACH.PL

Analiza / M**4**

Znowu nas straszą

Czy chodzi o falę fałszywych alarmów bombowych w Europie, czy o realną dywersję i cyberataki, beneficjentem jest zazwyczaj Rosja

ostrzega Witold Sokała

Wywiad / M**7**

Gdy przemoc jest celem

W środowisku nihilistycznych ekstremistów twój status zależy przede wszystkim od tego, jakie przestępstwa jesteś gotowy popełnić

mówi Felix Neumann

Esej / M**9**

Codzienność wymaga odwagi

Heroiczna realizacja wartości, do których ochrony są powołane instytucje, przypomina nam, że te instytucje mają sens

pisze Konrad Werner

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 226 (6895), 20–22 LISTOPADA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl c6a66f84ea

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl


FOT. WOJTEK GÓRSKI

Król być może jest nagi, ale silny

Jan Wróbel

„Domański będzie musiał w końcu przeciąć pępowinę łączącą go z premierem" – twierdzą rozmówcy „Rzeczpospolitej". Różnego typu rozważań na temat politycznej roli, którą miałby odegrać świeżo upieczony wicepremier, w mediach nie brakuje. Aż szkoda, że nie ma do tych spekulacji podstaw. Minister finansów nie wyróżnił się dotąd niczym. Nie miał i nie ma politycznego zaplecza. Co najważniejsze: nie próbuje go zdobyć. Więc nie osiągnie jako wicepremier znaczącej pozycji politycznej. Z wielu powodów zresztą, a wystarczy podać jeden: bo nie.

A jednak wzbudził zainteresowanie jako polityk mogący mieć przed sobą samodzielną karierę. Zwróćmy uwagę: o takich (płonnych, o czym wszyscy wiedzą) nadziejach mówią politycy koalicji rządowej. Oczywiście, anonimowo. Mówią tak dlatego, że chcą zwrócić uwagę Donalda Tuska na to, że jego przywództwo nie jest już tak mocne jak kiedyś. Zarazem ukazują, że jednak jest. Gdyby było inaczej, w partii Tuska wrzałaby dyskusja na temat ryzyka związanego z nadmiarem hipokryzji w działaniach premiera. To samo środowisko, które z takim przekonaniem mówiło o „Trybunale Julii Przyłębskiej" (aby nie powiedzieć „Trybunał Konstytucyjny"), zawłaszczyło TK. Podważało, zresztą nie bez racji, prawidłowość mianowania Przyłębskiej prezes TK, a teraz postawiło na czele tej instytucji panią, która po prostu sama się ogłosiła szefową tej instytucji. Wierni prawnicy Tuska przyklasnęli, a następnie uznali, że skoro szefowa zawiesiła dwóch członków trybunału, to nie będzie się ich już liczyć do kworum.

PiS mógłby się uczyć bezwzględności i bezwstydu od tych, którzy mieli wyprostować polską praworządność. Po drodze sekciarską telewizję publiczną zamieniono na „tylko" prorządową, a wybranego głosami połowy Polaków prezydenta wyzywano, bo wybrali go głupole. I tak dalej. Oględnie mówiąc, sprawy nie poszły tak, jak je projektowano.

Gdyby nie ujarzmienie mniejszych partii koalicji rządowej przez inżyniera władzy – Donalda Tuska, to sypnęłoby się w tej koalicji już dawno. Lecz premier to przewidział i wewnętrzną opozycję spacyfikował. Nie ma kto wewnątrz tej koalicji zamachać sztandarem „król jest nagi". Bo może jest nagi, ale silny. Na otarcie łez pozostaje mówienie dziennikarzom, jak ma się wybić na samodzielność Andrzej Domański. ©℗

Opinia / M12

Z czego mogą być dumni Polacy

Kiełbasa, pierogi i żubrówka nie są już powodem do dumy – wolimy się chwalić wzrostem PKB, bezpiecznymi ulicami i płatnościami mobilnymi, jednocześnie mając świadomość, że polskie państwo jest nadal z kartonu
zauważa Marcin Kędzierski

Wywiad / M16

„Byle nie Tusk" to pusty slogan

Dając Braunowi glejt politycznej normalności, Kaczyński nie tylko popełnił wielki błąd z perspektywy interesów PiS, lecz także wystawił piłkę Tuskowi do pustej bramki
mówi Paweł Jabłoński

Wywiad / M20

Maszyna do kompromisów

Nawet u nas, w Szwajcarii, politycy nie lubią demokracji bezpośredniej, bo odbiera im władzę
twierdzi Dominik Feusi



FOT. JEAN-CHRISTOPHE BOTT/KEYSTONE/EPA/PAP

eprasa.pl c6a66f84ea

PREZENTACJA

Gdy problemy zdrowotne wpływają na bezpieczeństwo finansowe

Poważna choroba może wpływać nie tylko na codzienne funkcjonowanie, lecz także na sytuację finansową. Dużą pomocą może się okazać nowoczesna, odpowiednio skonstruowana polisa ubezpieczeniowa.

Przez dekady ubezpieczenia na życie kojarzono przede wszystkim ze wsparciem bliskich po śmierci ubezpieczonego i z jednorazową wypłatą świadczenia uposażonym. Tymczasem wraz z nowymi potrzebami klientów zmienia się również rola tego rodzaju ubezpieczeń.

Dziś istotne staje się także wsparcie w sytuacjach, które mogą znacząco zmienić codzienne funkcjonowanie, takich jak: poważna choroba, uraz w wyniku wypadku czy dłuższa rekonwalescencja. Mogą one się wiązać z dodatkowymi wydatkami, przerwą w aktywności zawodowej lub koniecznością reorganizacji codziennego życia. Odpowiednio skonstruowane ubezpieczenie może w takich okolicznościach zapewnić dodatkowe środki i pomóc w radzeniu sobie z częścią finansowych konsekwencji trudnej sytuacji zdrowotnej.

Co pokazują statystyki

Kłopoty wynikające z problemów zdrowotnych nie kończą się na sali szpitalnej. Pociągają za sobą perturbacje zawodowe, spadek przychodów i rosnące wydatki na nierefundowane procedury, nowoczesne leki, prywatną rehabilitację oraz codzienne funkcjonowanie.

Skalę problemu pokazują statystyki. W 2024 r. w szpitalach leczono stacjonarnie ok. 7,6 mln pacjentów, wykonano prawie 3 mln operacji, a przeciętny czas pobytu chorego w placówkach medycznych wynosił niemal pięć dni (Szpitale w 2024 r., GUS). Dominującą przyczyną pozostają schorzenia układu krążenia, silną tendencję wzrostową wykazują choroby onkologiczne. Prawie połowa pierwszorazowych orzeczeń ZUS o całkowitej niezdolności do pracy lub niezdolności do samodzielnej egzystencji ma bezpośredni związek z nowotworami złośliwymi, zawałami serca oraz udarami mózgu (oprac. PZU na podstawie danych ZUS za lata 2023–2025).

Z kolei z badań Polskiej Izby Ubezpieczeń wynika, że luka ubezpieczeniowa w samym obszarze zdrowia sięga w Polsce 100–125 mld zł rocznie. To środki, których brakuje w domowych portfelach na sfinansowanie skutków chorób. Równocześnie w ubezpieczeniach na życie średnia suma ubezpieczenia pozostaje niedoszacowana. Aby zapewnić rodzinie stabilizację po stracie zdrowia lub życia bliskiego, sumy ubezpieczenia powinny wzrosnąć przeciętnie o 73 proc., do co najmniej 333,7 tys. zł (raport PIU z 2024 r. „Polacy i ryzyko – jak się ubezpieczamy. Luka ubezpieczeniowa w Polsce").

Choć Polacy dostrzegają znaczenie ubezpieczeń i ich rolę w budowaniu poczucia bezpieczeństwa, w praktyce podejście do ochrony ubezpieczeniowej bywa bardziej złożone. Między deklarowaną potrzebą zabezpieczenia a podejmowanymi decyzjami nadal pozostaje przestrzeń do zmiany. Syndrom nierealistycznego optymizmu sprawia, że statystyczny Polak ocenia prawdopodobieństwo wystąpienia ciężkiej choroby u siebie znacznie niżej niż u innych, odwlekając decyzję o zakupie polisy. Ubezpieczenie bywa również postrzegane przez pryzmat inwestycji, od której oczekuje się określonego zwrotu. Tymczasem jego podstawową rolą jest zapewnienie wsparcia finansowego w sytuacjach objętych zakresem ochrony ubezpieczeniowej.

Dane dotyczące doświadczeń klientów pokazują, że proces realizacji świadczeń jest oceniany pozytywnie. Jak pokazują dane PIU, aż 83 proc. osób zgłaszających świadczenie z ubezpieczenia na życie pozytywnie oceniło decyzję ubezpieczyciela (raport PIU z 2026 r., „Świadomość ubezpieczeniowa Polaków").

Spójna ochrona PZU Życie

PZU Życie rozwija ofertę dodatkowych indywidualnych ubezpieczeń na życie, tak aby zapewniać klientom wsparcie w różnych sytuacjach związanych z ciężką chorobą i jej konsekwencjami.

Oprócz wsparcia finansowego na wypadek ciężkich chorób, które jest już dostępne w ofercie, PZU Życie rozwija rozwiązania odpowiadające na potrzeby, które mogą się pojawić po diagnozie: od drugiej opinii medycznej przez leczenie szpitalne i operacje chirurgiczne po wsparcie finansowe w razie długotrwałej niezdolności do pracy. Nowe i zmodyfikowane rozwiązania są dostępne od września i października br.

Umowy dodatkowe można kupić wraz z ubezpieczeniem PZU Perspektywa na Przyszłość, PZU Ochrona Każdego Dnia czy PZU Wsparcie Najbliższych, a także dokupić do posiadanego indywidualnego ubezpieczenia na życie.

Jedną z potrzeb, która może się pojawić po diagnozie, jest uzyskanie dodatkowej wiedzy o rozpoznaniu i możliwościach leczenia. Odpowiada na nią nowe dodatkowe ubezpieczenie druga opinia medyczna, które umożliwia uzyskanie weryfikacji diagnozy i propozycji planu leczenia przygotowanych przez zagranicznego lekarza specjalistę. Ochrona obejmuje szeroki katalog poważnych stanów zdrowia, które mogą wystąpić u ubezpieczonego lub jego dziecka. W przypadku nowotworu złośliwego kwalifikującego się do terapii spersonalizowanej ubezpieczony może wybrać drugą opinię medyczną albo po spełnieniu warunków określonych w OWU skorzystać m.in. z profilowania molekularnego i otrzymać raport ekspercki terapii spersonalizowanej zawierający zalecenia dotyczące leczenia o najwyższym potencjale klinicznym.

Choć Polacy dostrzegają znaczenie ubezpieczeń i ich rolę w budowaniu poczucia bezpieczeństwa, w praktyce podejście do ochrony ubezpieczeniowej bywa bardziej złożone. Między deklarowaną potrzebą zabezpieczenia a podejmowanymi decyzjami nadal pozostaje przestrzeń do zmiany.

Kolejnym obszarem wsparcia jest leczenie szpitalne, które może się wiązać z dodatkowymi kosztami leczenia i powrotu do codziennego funkcjonowania. Zmodyfikowane dodatkowe ubezpieczenie na wypadek leczenia szpitalnego zapewnia świadczenie za każdy dzień pobytu w szpitalu, jeśli pobyt spowodowany nieszczęśliwym wypadkiem trwa co najmniej dwa kolejne dni, a spowodowany chorobą co najmniej trzy kolejne dni. W zależności od wybranego wariantu ochrona może obejmować także świadczenie za pobyt na oddziale intensywnej terapii spowodowany nieszczęśliwym wypadkiem.

W przypadku hospitalizacji związanej z zawałem serca lub udarem mózgu, a także chemioterapii lub radioterapii nowotworu złośliwego ubezpieczony może otrzymać jednorazowe świadczenie w wysokości 45 proc. sumy ubezpieczenia. Wsparcie uzupełniają świadczenie rekonwalescencyjne po pobycie w szpitalu trwającym minimum 14 dni oraz karta apteczna.

Gdy konieczna jest interwencja chirurgiczna, wsparcie zapewnia ubezpieczenie na wypadek operacji chirurgicznych. Wariant podstawowy obejmuje prawie 800 rodzajów operacji, w tym profilaktyczne operacje chirurgiczne wykonywane u osób z potwierdzoną mutacją genetyczną zwiększającą ryzyko zachorowania na nowotwór złośliwy. Z kolei wariant rozszerzony obejmuje także operacje spoza wykazu, o ile zostały wykonane w szpitalu. Łączna wartość świadczeń za różne operacje objęte ochroną może wynieść do 500 proc. sumy ubezpieczenia. Ochrona obejmuje operacje chirurgiczne wykonane na całym świecie.

W razie długotrwałej niezdolności do pracy

Od października br. PZU Życie oferuje również dodatkowe ubezpieczenie na wypadek długotrwałej niezdolności do pracy. Konsekwencje choroby lub nieszczęśliwego wypadku mogą na wiele miesięcy ograniczyć możliwość wykonywania pracy i wpłynąć na sytuację finansową.

Świadczenia w ubezpieczeniu na wypadek długotrwałej niezdolności do pracy mogą być wypłacane etapami. Pierwsze świadczenie, w wysokości 30 proc. sumy ubezpieczenia, może zostać wypłacone już po 90 dniach nieprzerwanej niezdolności do pracy spowodowanej nowotworem złośliwym, udarem mózgu lub zawałem serca, a w przypadku innych chorób albo nieszczęśliwego wypadku po 182 dniach. Warunkiem wypłaty jest brak rokowań na odzyskanie zdolności do pracy przez kolejne 12 miesięcy. Jeśli niezdolność do pracy nadal się utrzymuje i są spełnione warunki umowy, po kolejnych 12 miesiącach może zostać wypłacone drugie świadczenie w wysokości 30 proc. sumy ubezpieczenia, a po następnych 12 miesiącach trzecie w wysokości 50 proc. Łączna wartość świadczeń może więc wynieść do 110 proc. sumy ubezpieczenia. Taki etapowy model wypłaty świadczeń zapewnia wsparcie finansowe również wtedy, gdy niezdolność do pracy utrzymuje się przez dłuższy czas.

O bezpieczeństwo finansowe warto zadbać niezależnie od sytuacji rodzinnej. Długotrwała niezdolność do pracy może oznaczać wyzwanie finansowe zarówno dla osoby żyjącej samodzielnie, jak i dla kilkuosobowej rodziny. Dlatego przy wyborze ubezpieczenia warto się kierować nie tylko wysokością składki. Ważne jest spojrzenie na własne potrzeby i potrzeby najbliższych oraz na zakres wsparcia, jaki zapewnia ubezpieczenie.

PARTNER

eprasa.pl c6a66f84ea

Znowu nas straszą



RYS. PATRYK KOCH, FOT. ZYGMUNT AJDUKIEWICZ, 1892, STRACH NA WRÓBLE/WMUZEACH.PL

Czy chodzi o falę fałszywych alarmów bombowych, czy o realną dywersję i cyberataki, czy o narracje wyolbrzymiające różne europejskie problemy i deficyty – tak się dziwnie składa, że beneficjentem jest zazwyczaj Rosja

Witold

Sokała

Fałszywe alarmy bombowe zdarzają się w różnych krajach europejskich dość często, ale ponad 8 tys. w niespełna miesiąc – a większość z tej liczby zaledwie w kilka dni – to absolutny rekord. Tylu incydentów doliczyła się właśnie Agencja Reutera w efekcie kwerendy obejmującej instytucje publiczne oraz wyspecjalizowane firmy zajmujące się bezpieczeństwem (np. Proofpoint i Mimecast), a także inne media.

W dodatku alarmy te były wyraźnie skoncentrowane terytorialnie, dotyczyły zaledwie kilku typów podmiotów i wykazywały jeszcze inne podobieństwa, co praktycznie wyklucza przypadek. Tym bardziej że owa akcja – najwyraźniej bardzo celowa i dobrze skoordynowana – współgra z kolejnymi, także obliczonymi na sianie na naszym kontynencie chaosu i lęku, a w ostatecznym rachunku mającymi wzmocnić przekonanie opinii publicznej i decydentów o słabości Europy i jej podatności na zagrożenia. Strategiczny kontekst tej operacji pozwala na snucie dosyć prawdopodobnych domysłów, w czyim interesie jest wzrost nastrojów kapitulanckich.

„Śmierć jest blisko"

19 października fala gróźb została skierowana do licznych szkół w Irlandii i Szkocji. Tego samego dnia informacje o rzekomym podłożeniu bomb trafiły także do bułgarskich instytucji opieki medycznej i organizacji antykorupcyjnych. Prawie wszystkie e-maile nosiły ten sam tytuł: „Śmierć jest blisko". Wysłano je ze zhakowanych kont, w większości prywatnych, na różnych kontynentach. Nie wzbudziły paniki, ale wywołały nieco komplikacji związanych m.in. z koniecznością ewakuacji ludzi. Bardzo możliwe, że był to test przed kolejną falą.

Ta rozpoczęła się 2 listopada, gdy samolot Wizz Air z Londynu do Sofii musiał lądować w Budapeszcie w związku z informacją o podłożeniu w nim bomby. Jak się okazało, alarm też był fałszywy. Następnego dnia sytuacja powtórzyła się w odniesieniu do kolejnych siedmiu lotów, a także statku wycieczkowego przebywającego w pobliżu greckich wybrzeży. 5 i 6 listopada kolejna fala gróźb zakłóciła już loty w całej Europie, wymuszając nieplanowane lądowania i opóźnienia, awaryjne przeszukania maszyn i budynków, a w niektórych przypadkach nawet powietrzne interwencje i asysty lotnictwa wojskowego, bo przynajmniej 15 różnych linii (w tym Finnair, EasyJet, Iberia, KLM i LOT) dostawało analogiczne powiadomienia. Niektóre z nich mówiły o „planowanym wybuchu za 60 minut". Mapa odnotowanych gróźb objęła prawie cały kontynent.

„Dziś wasze niebo będzie czerwone" – zapowiadały e-maile, z których większość sygnowała mało znana grupa o nazwie „Państwo Męskie". Założył ją w 2016 r. rosyjski bloger Władysław Pozdniakow. Przez pewien czas promował w sieci skrajnie antyfeministyczne treści i skupił wokół siebie grono fanów. W serii wpisów na kanale Telegram oświadczył jednak, że nie ma nic wspólnego z groźbami, inicjatywa dawno zamarła, a „każdy, kto obecnie organizuje prowokacje w krajach Unii Europejskiej pod tym sztandarem, działa w swoim własnym interesie i (...) podszywa się pod kogoś innego".

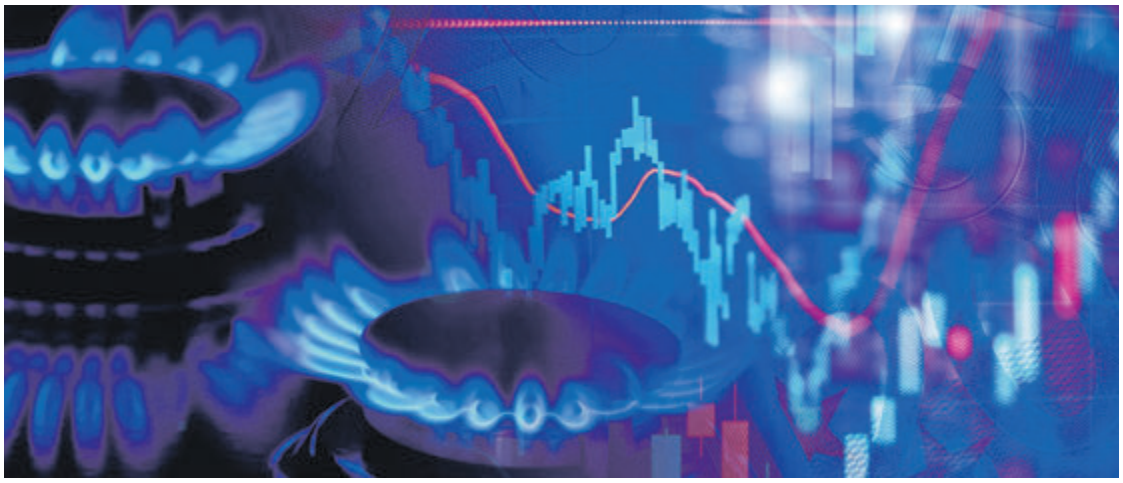
Także 6 listopada na celownik wzięto instytucje medialne, między innymi francuską TF1, bułgarską stację Nova i irlandzką telewizję publiczną RTE, a także wiele mniejszych, wymuszając ewakuacje i czasowe przerwy w nadawaniu programów. 11 listopada niemal 8 tys. szkół, głównie we Włoszech, ale także w Irlandii, Szkocji i Irlandii Północnej, otrzymało groźby bombowe od „Mizoginistanu" (niektóre podpisane „Michaił Andropow"), co gdzieniegdzie spowodowało uruchomienie procedur ewakuacyjnych, a przynajmniej sprawdzających. Z kolei we Francji, w Calais, fałszywa informacja o bombie w tunelu pod Kanałem la Manche zakłóciła kursowanie szybkich pociągów do Wielkiej Brytanii.

Specjaliści odnotowali liczne podobieństwa w treści i sposobie roz- ▷

eprasa.pl c6a66f84ea

CYKL: RACHUNKI POD KONTROLĄ

Gaz bez niespodzianek: jak dobrać ofertę do własnego biznesu



FOT. SHUTTERSTOCK

Na rynku B2B firma sama wybiera, czy woli podążać za rynkiem, czy zapłacić za przewidywalność kosztów. Sama cena z dnia podpisania umowy nie przesądza jednak o tym, który model okaże się korzystniejszy w dłuższej perspektywie. W ramach cyklu „Rachunki pod kontrolą" ekspert myORLEN podpowiada, co wziąć pod uwagę przed wyborem modelu zakupu gazu.

W przypadku odbiorców indywidualnych (gospodarstw domowych) ceny gazu kształtują taryfy zatwierdzane przez prezesa Urzędu Regulacji Energetyki. Przedsiębiorców taki mechanizm nie obejmuje, ale za to mają pełną swobodę wyboru oferty i formuły ceny. To oznacza, że muszą rozstrzygnąć ważny dylemat: czy chcą silniej powiązać koszty działalności z bieżącą sytuacją rynkową z perspektywą zmian, czy postawić na większą stabilność i przewidywalność wydatków.

Stawka bywa wysoka, co widać na przykładzie opisanym na Dziennik.pl. Przedsiębiorstwo Energetyki Cieplnej w Mińsku Mazowieckim w pandemicznym okresie, gdy branża ciepłownicza notowała średnio rentowność na poziomie -6 proc., wypracowało wynik rzędu 25 proc., a w 2023 r. prawie 30 proc. Prezes spółki Jarosław Belkiewicz wskazywał podczas rozmowy przeprowadzonej na XXX Forum Ciepłowników Polskich, że w kogeneracji gazowej recepta opiera się na trzech filarach: dobrze kupić gaz, dobrze zakontraktować energię elektryczną i nie oszczędzać na bieżącej eksploatacji instalacji.

Pytanie brzmi, co właściwie oznacza „dobrze kupić"?

Niuanse stałej i zmiennej ceny gazu

Maciej Kołodziejek, dyrektor Biura Zarządzania Ofertą Gazową i Energii myORLEN, przestrzega przed kierowaniem się wyłącznie ceną obowiązującą w danym momencie.

– Równie ważne są: mechanizm jej ustalania, ocena ryzyka oraz dopasowanie warunków umowy do działalności przedsiębiorstwa – tłumaczy.

Jak dodaje, liczą się profil i sezonowość zużycia, przewidywalność zapotrzebowania, udział gazu w kosztach działalności oraz możliwości aktywnego zarządzania zakupem. Inne potrzeby ma niewielka firma, dla której gaz jest mało istotną pozycją kosztową, a inne przedsiębiorstwo energochłonne, w którym wydatki na paliwo bezpośrednio wpływają na rentowność produkcji.

– W tym drugim przypadku szczególnego znaczenia nabiera dopasowanie zakupu gazu do sposobu ustalania cen sprzedawanych produktów lub usług – mówi ekspert.

Im większy udział gazu w strukturze kosztów, tym ważniejsza staje się przewidywalność ceny.

– Nie ma modelu, który w każdych warunkach zapewniałby niższą cenę. Cena stała i indeksowana odpowiadają na różne potrzeby oraz wiążą się z innym podziałem ryzyka – mówi dyrektor w myORLEN.

Oferta ze stałą ceną na uzgodniony okres zwiększa przewidywalność wydatków na samo paliwo i w zakresie objętym gwarancją chroni przed wzrostem cen rynkowych, ale nie pozwala automatycznie skorzystać z ich spadku. Maciej Kołodziejek zastrzega, że stała cena jednostkowa nie oznacza stałej kwoty rachunku, bo ten zależy również od zużycia, opłat za dystrybucję lub przesył, opłat handlowych oraz podatków – a żadna z tych rzeczy nie zależy od sprzedawcy gazu.

W modelu indeksowanym cena paliwa jest powiązana z uzgodnionym indeksem rynkowym, więc jego spadki mogą ją obniżać, a wzrosty podwyższać. Efekt zależy od wybranego indeksu, okresu uśredniania i terminów aktualizacji.

Rozwiązania tego rodzaju można rozważać m.in. w przedsiębiorstwach energochłonnych, takich jak: zakłady ciepłownicze, producenci ceramiki czy huty szkła.

– O wyborze nie powinna jednak przesądzać sama branża, lecz także zdolność firmy do ponoszenia ryzyka wzrostu cen gazu oraz możliwość uwzględniania zmian kosztów w cenach własnych produktów lub usług – dodaje Maciej Kołodziejek.

Osobnym rozwiązaniem jest Cennik Gaz dla Biznesu, w którym cena paliwa jest aktualizowana co miesiąc według określonej formuły i publikowana z miesięcznym wyprzedzeniem. W myORLEN jej podstawą są kursy rozliczeniowe kontraktu miesięcznego GAS_BASE_M na Towarowej Giełdzie Energii z okresu przyjętego do kalkulacji, powiększone o narzut sprzedawcy oraz składnik związany z obowiązkami w zakresie efektywności energetycznej. Klient nie wybiera samodzielnie momentu wyceny poszczególnych partii gazu, ale powinien się liczyć z comiesięczną zmianą stawki. Takie rozwiązanie może być wygodne zwłaszcza dla firm, w których gaz nie stanowi kluczowej pozycji kosztowej i które nie chcą aktywnie zarządzać zakupem transz.

Możliwości wyboru jest więcej.

– W modelu transzowym przedsiębiorca nie musi ustalać ceny całego zakontraktowanego wolumenu w jednym momencie – tłumaczy Maciej Kołodziejek.

Można stopniowo ustalać cenę poszczególnych transz w terminach i na zasadach przewidzianych w umowie, dopasowując wyceny do planu produkcji, profilu zużycia i kontraktów sprzedażowych. Część wolumenu może mieć już ustaloną cenę, a pozostała nadal podlegać zmianom notowań. Rozłożenie zakupu w czasie ogranicza więc ryzyko ustalenia ceny całego wolumenu w jednym, niekorzystnym momencie, ale nie eliminuje ryzyka cenowego. Nie wiadomo bowiem, czy przed wyceną kolejnych transz ceny wzrosną, czy spadną – w pierwszym przypadku firma zapłaci za nie więcej, w drugim mniej. Dlatego nie można z góry określić ostatecznej średniej ceny całego zakontraktowanego wolumenu.

Taki model wymaga monitorowania rynku i sprawnego podejmowania decyzji, dlatego jest rozwiązaniem przede wszystkim dla firm przygotowanych do aktywnego zarządzania zakupem gazu.

Zanim podpiszesz umowę

Punktem wyjścia dla przedsiębiorcy powinna więc być analiza historycznego zużycia i prognozowanego zapotrzebowania: jego skali, sezonowości oraz zmian wynikających z planów produkcji lub świadczenia usług. Pomaga w tym testowanie różnych scenariuszy kosztowych – firma, która zna własne zużycie i rozumie formułę ceny, może lepiej chronić budżet nawet wtedy, gdy sam rynek pozostaje nieprzewidywalny.

Ważne jest też określenie akceptowanego poziomu ryzyka. Gdy priorytetem jest przewidywalność, punktem odniesienia może być oferta ze stałą ceną. Firma akceptująca zmiany notowań może rozważyć indeksację, a przedsiębiorstwo gotowe aktywnie zarządzać zakupem stopniowe ustalanie cen w modelu transzowym.

– Jeżeli firma sprzedaje produkty lub usługi w długim okresie po z góry ustalonych cenach, warto rozważyć zabezpieczenie ceny gazu dla odpowiadającego im okresu i wolumenu – radzi Maciej Kołodziejek, dodając, że można to zrobić ofertą ze stałą ceną lub stopniowym ustalaniem cen transz.

Przed podpisaniem umowy warto więc zwrócić uwagę nie tylko na cenę paliwa, lecz także na pozostałe opłaty, sposób kalkulacji i aktualizacji ceny, zobowiązania wolumenowe, tolerancje poboru, zasady rozliczania odchyleń oraz warunki zmiany i rozwiązania umowy. W modelu transzowym trzeba dodatkowo ustalić, kto w firmie będzie podejmował decyzje o wycenie kolejnych części wolumenu i w jakich terminach.

Czy da się zatem wskazać uniwersalną strategię zakupu gazu? Nie ma jednej odpowiedniej dla każdego przedsiębiorstwa. Różne modele dostępne w myORLEN pozwalają dopasować sposób ustalania ceny do potrzeb i preferencji.

„Dobrze kupić gaz" nie znaczy więc trafić w jeden najlepszy dzień na rynku.

– Kluczem jest spójność zakupów gazu z działalnością firmy: okresem i profilem zapotrzebowania, kontraktami sprzedażowymi oraz możliwościami zarządzania ryzykiem. Strategia powinna służyć kontroli kosztów i ryzyka, a nie próbie wskazania jednego, zawsze najlepszego momentu zakupu – podsumowuje Maciej Kołodziejek.

Michał Perzyński

PARTNER ORLEN

eprasa.pl c6a66f84ea

Rosjanom chodzi nie tylko o zadawanie nam fizycznych strat – te są zresztą dla nich dość ryzykowne, bo jeśli przesadzą, to narażają się na efekt odwrotny od zamierzonego. Znacznie lepsze z punktu widzenia Kremla jest właśnie moralne rozbrajanie Europy

syłania gróźb, a także ponowne wykorzystanie listy celów znanej już z akcji październikowej. „Bardzo wyraźnie widzimy możliwość ingerencji zagranicznej" – stwierdził wówczas francuski minister spraw wewnętrznych Laurent Nuñez, wymieniając „Rosję lub potencjalnie inne kraje". Śledztwa krajowych instytucji bezpieczeństwa oficjalnie wsparł Europol. Nieoficjalnie wiadomo, że jednym z głównych badanych wątków jest ewentualne zaangażowanie rosyjskich hakerów najemników, zwanych Grupą DaVinci, których jako sprawców bardzo podobnych ataków, wymierzonych wtedy głównie w instytucje publiczne, wskazała w 2025 r. zajmująca się cyberbezpieczeństwem francuska firma Intrinsec.

„W przypadku takiej sytuacji, a nawet innych ataków sabotażowych, naprawdę trudno udowodnić, że stoi za nimi konkretny kraj, ale to wpisuje się w znany modus operandi" – powiedział Reutersowi Eric Schouten, szef wyspecjalizowanej w problematyce bezpieczeństwa lotniczego grupy Dyami.

Niebezpieczeństwa z sieci

Fałszywe informacje o planowanych aktach terroru to z punktu widzenia sprawców prawdziwe złoto – ich własny koszt jest minimalny, natomiast efekty obejmują bardzo szerokie spektrum – od testowania reakcji służb bezpieczeństwa i społeczeństw (co przydaje się w procesie planowania kolejnych działań) przez efekt przeciążenia i zmęczenia, a więc usypianie czujności wszystkich zainteresowanych (co powoduje potencjalne multiplikowanie szans powodzenia i skutków hipotetycznego, realnego ataku) aż po sianie powszechnego strachu i niepewności, co z kolei w naturalny sposób sprzyja destabilizacji, zwłaszcza tam, gdzie opozycja korzysta z okazji, by krytykować rząd za jego nie tylko realne, ale i fikcyjne przewiny. Zdarza się tak nie tylko w naszym kraju. Ostatnio mocno oberwało się m.in. włoskiej premier Giorgii Meloni po groźbach adresowanych do szkół. Dodatkowym bonusem dla agresora są niebagatelne koszty ekonomiczne po stronie atakowanych państw i przedsiębiorstw.

Nie jest raczej przypadkiem, że bezprecedensowa fala fałszywych alarmów niemal nałożyła się w czasie na liczne – jak najbardziej realne – wymierzone w systemy chłodnicze europejskich supermarketów cyberataki powodujące zepsucie się ogromnych ilości żywności we Francji, we Włoszech, w Niemczech, Irlandii, Belgii, Holandii, Luksemburgu, Szwecji, Finlandii i Estonii. „To celowa próba zakłócenia naszego łańcucha dostaw żywności i podważenia zaufania konsumentów do niego. To ostrzeżenie, które musimy potraktować poważnie" – zauważył komisarz UE ds. rolnictwa Christophe Hansen.

Jak wskazał w swych komentarzach w mediach społecznościowych Tom Hegel, analityk bezpieczeństwa z SentinelOne, tego typu ataki nie są co prawda niczym nowym, choć nigdy wcześniej nie wystąpiły na tak wielką skalę, ale zazwyczaj wiązały się z wymuszeniami okupu, względnie w tle znajdowały się elementy walki konkurencyjnej. Tym razem zasięg (uderzenie w wiele sieci handlowych jednocześnie) oraz brak jakichkolwiek sygnałów o żądaniach finansowych dość jednoznacznie wskazują na polityczne motywacje sprawców sabotażu.

Warto odnotować, że we Francji równocześnie nastąpiły też zdalne ataki na banki krwi, a więc ważny element infrastruktury krytycznej. Nie zabrakło też doniesień o przygotowywaniu w różnych państwach europejskich fizycznych ataków terrorystycznych. Na przykład w Polsce zatrzymano niedawno trzech nastolatków, którym zarzuca się m.in. posiadanie substancji chemicznych służących do wytwarzania materiałów wybuchowych, a w Estonii doszło do próby podpalenia produkującej drony firmy Thread Systems.

Kto korzysta?

Takie rzeczy zdarzały się i wcześniej, wykazując zresztą pewien niepokojący wspólny mianownik w postaci werbowania, instruowania i zadaniowania przez internet bezpośrednich sprawców, nierzadko nieletnich i/lub związanych ze środowiskami przestępczymi. Do schematu należy też dokonywanie zapłaty w kryptowalutach, a także zdalne radykalizowanie uprzednio wytypowanych osób szczególnie podatnych. Powtarzającym się elementem jest także wykorzystanie tzw. cudzej flagi, coraz częściej w postaci organizacji radykalnych (z prawa lub lewa), często mających de facto charakter internetowych grup dyskusyjnych, niekiedy faktycznie istniejących, a czasem doraźnie tworzonych na potrzeby danej operacji przez jakichś sprytnych manipulatorów.

Atak na Threod Systems estońskie służby przypisały Rosji, podobnie zresztą jak np. Niemcy kilka wcześniejszych aktów sabotażu na własnym terenie. Nasza Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego wstępnie powiązała młodych ludzi, debatujących w necie nad przeprowadzeniem ataku i gromadzących niezbędne narzędzia, z międzynarodową grupą neonazistowską. Belgijski minister spraw wewnętrznych Bernard Quintin stwierdził, że za cyberatakami na lodówki „bardzo prawdopodobnie" stoi Iran (acz jego kolega z rządu, minister spraw zagranicznych Maxime Prévot, natychmiast to skontrował, twierdząc, że brakuje dowodów pozwalających na takie wnioski). Oskarżenia pod adresem Teheranu popłynęły parę dni temu również z Macedonii Północnej i Grecji, których służby zatrzymały co najmniej pięć osób o powiązaniach kryminalnych, przygotowujących zamach terrorystyczny na zlecenie irańskiego wywiadu.

Rzecz jasna neonaziści i inni radykałowie mogą działać sami z siebie. Nie możemy jednak wykluczyć, że są użytecznym narzędziem kogoś starającego się pozostawać w cieniu. Lista potencjalnych manipulatorów jest dość długa, ale należy pamiętać, że nikt z nich nie ma takiego doświadczenia w brutalnym stosowaniu „cudzej flagi" jak Rosja w jej różnych wcieleniach, w tym ZSRR. Ani tradycji sięgającej niesławnego Piotra Raczkowskiego, generała carskiej Ochrany znanego jako autor operacji z „Protokołami Mędrców Syjonu", ale mającego też w zawodowym CV tworzenie we Francji i Belgii „sztucznych" grup anarchistycznych i popychanie ich do krwawych zamachów.

Iran z kolei bez wątpienia ma w Europie (i nie tylko) rozbudowane siatki wywiadowcze, czasami faktycznie korzysta z nich, np. w celu eliminowania swoich dysydentów przebywających na emigracji albo do organizowania akcji antyizraelskich. Opisane powyżej ataki niezbyt wpisują się jednak w strategiczne interesy Teheranu – ewentualne ujawnienie rzeczywistego autorstwa, co przecież zawsze jest ryzykiem wartym uwzględnienia, mogłoby zakłócić korzystną dla reżimu ajatollahów ewolucję nastrojów elit politycznych i opinii publicznej na Starym Kontynencie w kierunku coraz bardziej antyamerykańskim i antyżydowskim. Owszem, irańskie służby mogłyby takie ryzyko podjąć, ale musiałyby kryć się za tym jakieś szczególne korzyści, tak wielkiej rangi, że rekompensujące w razie czego straty wizerunkowe. Jedna z nasuwających się hipotez to zapłata za udostępnienie wojskowej technologii nuklearnej, względnie nawet gotowej broni masowego rażenia. Znowu wracamy do Rosji...

Putin chce przetrwać

To Kreml ma bowiem oczywisty i jednoznaczny interes w destabilizowaniu Europy jako głównej obecnie przeszkody w jego planach rozstrzygnięcia po swojej myśli wojny w Ukrainie. To sprzeciw kluczowych państw europejskich oraz ich niezmienne wsparcie dla Kijowa blokuje przecież „pokojowe inicjatywy" polegające na przekształceniu całej Europy Środkowo-Wschodniej w rosyjską strefę wpływów, wycofaniu z niej wojsk NATO, powrocie do zasady business as usual z resztą Zachodu. A po drodze – rzecz jasna – na przyklepaniu lub nawet poszerzeniu zdobyczy terytorialnych w Ukrainie oraz na obaleniu prozachodnich rządów w tym kraju.

Dla Władimira Putina i jego ekipy tylko taki scenariusz oznacza bowiem wyjście z twarzą z rozpętanej przez nich awantury, a więc stanowi być albo nie być, w sensie bardzo dosłownym. Okno możliwości, przynajmniej względnych, stworzone przez prezydenturę Donalda Trumpa oraz (łagodnie mówiąc) niekonsekwentną i nieprzemyślaną politykę obecnej administracji USA zapewne niebawem się zamknie. W nieco dłuższej perspektywie Rosja musi też uwzględniać niebezpieczeństwo, że Europa – nawet pomimo ewentualnych zwycięstw polityków i partii bądź jawnie prorosyjskich, bądź przynajmniej nieco mniej wyczulonych na rosyjskie zagrożenie – jednak się pozbiera, dozbroi, usprawni swe służby specjalne, a przy tym ostatecznie uniezależni energetycznie i zwiększy odporność na agresję informacyjną. Eskalacja działań straszących i destabilizujących zarówno Unię Europejską, jak i poszczególne państwa Starego Kontynentu jest więc jak najbardziej racjonalna.

W tej grze Rosjanom chodzi nie tylko o zadawanie nam fizycznych strat – te są zresztą dla nich dość ryzykowne, bo jeśli przesadzą, to narażają się na efekt odwrotny od zamierzonego. Znacznie lepsze z punktu widzenia Kremla jest właśnie moralne rozbrajanie Europy, powodowanie paraliżu kluczowych instytucji, zwalczanie profesjonalnych reakcji po naszej stronie i promowanie niekompetencji, a zwłaszcza przekonywanie nas o bezcelowości sprzeciwiania się Rosji i/lub ponoszenia kosztów asertywnej polityki.

Dlatego tak istotną rolę w kremlowskiej strategii i taktyce zajmują oddziaływania na płaszczyźnie nie tylko kinetycznej, lecz również czysto informacyjnej – w tym zwłaszcza szczególnie groźne, wykorzystujące odpowiednio wykreowane „autorytety". O wiele większą siłę rażenia niż przysłowiowy „Tomek12345" lub inna „Grażyna z Rzeszowa" ma bowiem popularny polityk, profesor (zwłaszcza od spraw bezpieczeństwa), wyższy wojskowy lub emerytowany oficer służb specjalnych.

Żołnierze dezinformacji

A w zasobach rosyjskich jest takich niestety bardzo wielu. Jakiś czas temu opisywaliśmy na łamach DGP casus szwajcarskiego eksperta, płk Jacquesa Bauda, oraz sieci wspierających go rezonatorów. Niedawno medialną karierę zrobił kolejny, podobny doń agent wpływu – Harald Kujat, przedstawiany zazwyczaj jako „generał Bundeswehry i były przewodniczący Komitetu Wojskowego NATO". Pomijano przy tym dość istotne informacje: że jest to 85-letni emeryt, niegdyś polityczny

eprasa.pl c6a66f84ea

protegowany niesławnego kanclerza Gerharda Schroedera, który po odejściu ze służby zasiadał we władzach Instytutu Badawczego Dialogu Cywilizacji (niemiecko-rosyjskiego think tanku stworzonego i finansowanego przez bliskiego przyjaciela Putina, powiązanego z FSB i GRU biznesmena Władimira Jakunina).

Przez lata swej działalności komentatorskiej Kujat dał się poznać jako wierny i zaangażowany głosiciel tez kremlowskiej (a niekiedy także chińskiej) propagandy, za co był ostro krytykowany i przez niemieckie media, i przez wielu byłych podwładnych. Teraz wyciągnięto go z lamusa jako autora kilku sformułowań znowu bardzo wygodnych dla Moskwy: że winę za wybuch i przebieg wojny ponosi Zachód, że Ukraina jest bliska upadku i nie ma szans na zwycięstwo, że Europa popełnia straszliwy błąd, popierając Kijów, i powinna jak najszybciej zaakceptować rosyjskie propozycje „nowej architektury bezpieczeństwa". Z aprobatą ponieśli te wpisy w przestrzeń informacyjną w różnych państwach dysponenci tysięcy kont internetowych znanych wcześniej nie tylko z wrażliwości na „słuszne żądania rosyjskie", lecz także z narracji antyszczepionkowych, anty-LGBT, antyunijnych i tym podobnych.

Wkrótce po starcie tej międzynarodowej operacji Herr (gospodin?) Kujat zaistniał także w polskim internecie. Znacząco dopomógł mu w tym, udostępniając jego „analizy", poseł Konfederacji Andrzej Zapałowski – profesor paru wyższych uczelni (stopnie naukowe zdobył w Akademii Sztuki Wojennej), posiadacz wysokich odznaczeń państwowych, działacz Polskiego Towarzystwa Geopolitycznego, które współtworzył m.in. Leszek Sykulski, często piętnowany publicznie jako rosyjski agent wpływu. Już wcześniej poseł Zapałowski dał się zresztą poznać jako gorliwy głosiciel narracji zbieżnych z interesami rosyjskimi, w tym antyukraińskich. Liczni fani panów Zapałowskiego, Sykulskiego i im podobnych podali przekaz Kujata dalej, przeplatając go znęcaniem się nad słabością Europy, wyrazami niepokoju co do dalszych kosztów wojny dla „zwykłych Polaków" i zachwytami nad strategią Putina.

To pokazuje, jak wiele jeszcze brakuje nam (nie tylko Polsce, lecz całej Unii Europejskiej), żeby czuć się bezpiecznie ze strony Rosji. Amerykańskie bazy – a także własne czołgi, rakiety i samoloty – są oczywiście bardzo cenne i potrzebne, ale bez wygrania trwającej „bitwy o dusze i umysły" okażą się niestety całkiem bezużyteczne. ©℗



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold
Sokała
wykładowca Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczący Rady i analityk Fundacji Po.Int, publicysta DGP



FOT. MALOMBRA76/DIGITAL VISION VECTORS/GETTY IMAGES

Gdy przemoc jest celem

W grupach sieci Com twój status zależy przede wszystkim od tego, jakie przestępstwa jesteś gotowy popełnić

Z Feliksem
Neumannem

rozmawia Emilia Świętochowska

O nihilistycznym, przemocowym ekstremizmie (Nihilistic Violent Extremism – NVE) usłyszałam po raz pierwszy przy okazji zamachu na Donalda Trumpa w 2024 r. Od tamtej pory ten termin wielokrotnie powracał w kontekście brutalnych aktów przemocy: strzelanin w amerykańskich szkołach, morderstwa skrajnie prawicowego aktywisty Charliego Kirka, zabójstwa trzech dziewczynek w brytyjskim Southport, ataków nożowników w Szwecji, a ostatnio masowej strzelaniny w Krakowie.

A kiedy pan zetknął się z NVE?

Nihilistyczny ekstremizm pojawił się pod koniec drugiej dekady XXI w. w kilku niewielkich społecznościach internetowych, do pewnego stopnia zainspirowanych skrajnie prawicową ideologią. Dzisiaj jest to rozbudowana sieć znana jako The Community (Com), której aktywność opiera się na trzech filarach. Pierwszy to cyberprzestępczość: przejmowanie numerów telefonów, kradzież danych czy swatting, czyli fałszywe zgłoszenia na numery alarmowe. Sprawca zdobywa adres jakiejś osoby, a następnie zawiadamia policję, że w tym mieszkaniu dochodzi do molestowania dzieci. Gdy uzbrojeni funkcjonariusze docierają na miejsce, okazuje się, że nie dzieje się tam nic niepokojącego. Członkowie grupy traktują takie akcje jako wielki sukces. Drugi filar obejmuje wszystko, co związane z krzywdzeniem nieletnich – nie tylko tworzenie i udostępnianie materiałów przedstawiających wykorzystywanie seksualne, lecz także nakłanianie do samookaleczeń i samobójstwa. Trzecia kategoria to aktywność offline – od aktów wandalizmu i okrucieństwa wobec zwierząt ▷

eprasa.pl c6a66f84ea

przez podpalenia i pobicia nieznajomych, po zabójstwa. Mamy tu więc do czynienia z bardzo zróżnicowanym środowiskiem o szerokim repertuarze metod działania.

Co je łączy?

Mizantropia i nienawiść do społeczeństwa. Jedyne cele grup należących do sieci Com to sianie chaosu i zburzenie dotychczasowego porządku. To odróżnia je od ideologicznych ekstremistów, np. islamistów. Wszystkie organizacje islamistyczne wyglądają z grubsza tak samo. Ich członkowie mają podobne poglądy i metody działania – zamachy samobójcze i dekapitacje. Środowisko nihilistycznych ekstremistów nie ma spójnej struktury. Trudno uchwycić jego obraz.

Nie ma centralnego kierownictwa?

Nie. W niektórych grupach sieci Com istnieje pewna hierarchia, ale nie da się tego porównać z „tradycyjną" skrajną prawicą czy skrajną lewicą. Twój status zależy przede wszystkim od tego, jakie przestępstwa jesteś gotowy popełnić. Choć od czasu do czasu pojawiają się osoby, które wyrastają na nieformalnych liderów grupy, ich rola nie jest znacząca. Mówimy tu np. o mieszkającym w USA 16-latku, który ma wpływ na 15–20 dzieciaków z całego świata. W sieci Com nieletni są jednocześnie ofiarami i sprawcami.

Po ataku w Krakowie minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński powiedział, że zamachowiec był zafascynowany skrajnie prawicowymi ideologiami, choć twardych dowodów dotąd nie przedstawiono. Wiemy, że śledził w internecie konta gloryfikujące Hitlera i Mussoliniego. Znaleziona w jego pokoju flaga Gadsdena też wskazuje na prawicowe sympatie. W swoim raporcie pisze pan jednak, że nihilistyczni ekstremiści nie kierują się ideologią polityczną...

Powiedziałbym, że mamy tu do czynienia z pewnym spektrum. Na jednym krańcu są sprawcy, którzy nie kierują się żadną ideologią. Weźmy np. True Crime Community (internetowa społeczność zafascynowana seryjnymi mordercami, terrorystami i zbrodniarzami wojennymi – red.). Jej członkowie próbują odtworzyć ataki przeprowadzone w szkołach przez innych zamachowców. Nie ma dla nich znaczenia, czy zabiją Żyda, osobę czarną, czy muzułmanina. Chodzi im wyłącznie o przemoc. Im dalej przesuwamy się w tym spektrum, tym częściej napotykamy grupy, które ze względów historycznych znajdują się pod wpływem skrajnej prawicy. Świadczą o tym głoszone narracje i estetyka. Wśród ich ofiar jest nieproporcjonalnie dużo dziewcząt, a także osób LGBTQ. Grupy znajdujące się na samym końcu spektrum są już na wskroś skrajnie prawicowe. Widać to zarówno w ich manifestach, jak i w tym, kogo pragną zabijać. Przykładem jest łącząca elementy nazizmu i satanizmu grupa Maniac Murder Cult, która dwa lata temu planowała zamach w sylwestra w Nowym Jorku. Scenariusz zakładał m.in. rozdawanie zatrutych słodyczy żydowskim dzieciom. Trzeba dodać, że członkowie sieci Com wzajemnie na siebie oddziałują. Jeśli jedna grupa opublikuje manifest, jest spore prawdopodobieństwo, że zetkną się z nim inni członkowie społeczności.

Według ustaleń Wirtualnej Polski sprawca strzelaniny w Krakowie inspirował się True Crime Community. Odwiedzał profile wychwalające m.in. Charlesa Masona, Andersa Breivika i Teda Kaczyńskiego. Obsesja na punkcie true crime kojarzyła mi się dotąd ze słuchaniem podcastów i roztrząsaniem motywów zbrodni na Reddicie. Nie sądziłam, że ta społeczność może być wylęgarnią zamachowców...

Dlatego nazwa True Crime Community nie jest najtrafniejsza. Oczywiście warto zaznaczyć, że fani podcastów o historiach kryminalnych nie stanowią żadnego zagrożenia dla społeczeństwa. Członkowie True Crime Community nie interesują się tym, jak policja rozwiązała sprawę. Fascynują ich same osoby sprawców. Ubierają się jak oni, wieszają ich zdjęcia w swoich pokojach, robią im ołtarzyki... Chcą się do nich zbliżyć. Jednymi z największych bohaterów tej społeczności są sprawcy masakry w Columbine High School. Jeden z nich nosił T-shirt z napisem „Natural Selection". Dziś koszulkę z tym hasłem można kupić na całym świecie. Miał ją na sobie sprawca szkolnej strzelaniny na Filipinach, do której doszło kilka miesięcy temu.

Zamachowiec z Krakowa miał na plecaku naszywkę z flagą Czarnobrodego, a w swoim pokoju flagę Gadsdena. Nihilistyczni ekstremiści często używają też symboli nazistowskich i satanistycznych. Jaki ma to wszystko sens? A może tu chodzi o estetykę?

W tych środowiskach można dostrzec wiele symboli i nawiązań do skrajnej prawicy. Pojawiają się na naszywkach, monetach, flagach, tatuażach. Niektórzy szkolni zamachowcy grawerują białymi literami na czarnych karabinach różne napisy, np. runy nordyckie. Pytanie, na ile można czerpać z takiej estetyki, nie identyfikując się ze skrajną prawicą.

I jaka jest odpowiedź?

Załóżmy, że sprawca fascynuje się nazistowskimi Niemcami i podziwia Breivika, a na jego broni znajduje się swastyka. Czy to automatycznie oznacza, że jest neonazistą? W środowisku eksperckim toczy się na ten temat ożywiona dyskusja. Niektórzy odpowiedzieliby, że nie można się posługiwać swastyką, nie identyfikując się ze skrajną prawicą. Inni uznaliby, że to po prostu estetyka obliczona na szokowanie. Można to też wyczytać w rozmowach na czatach. W True Crime Community, ale też w innych grupach należących do sieci, wiele osób udostępnia np. najbardziej makabryczne nagrania Państwa Islamskiego. Nie dlatego, że są islamistami, lecz właśnie po to, by szokować. Próbują znieczulić na przemoc innych członków społeczności. Podobnie interpretowałbym używanie symboli nazistowskich. Można się nimi posługiwać, by zaznaczyć przynależność do skrajnej prawicy. Myślę, że tak mogło być w przypadku zamachowca z Krakowa. Można też używać tych symboli, żeby oswajać innych z przemocą. A może po prostu ktoś uważa, że taka estetyka ma fajny vibe i pasuje do jego wizerunku? Kolejne pytanie: na ile zamachowcy rzeczywiście rozumieją ideologię skrajnej prawicy? Przeczytanie manifestów organizacji terrorystycznych czy książek Hitlera wymaga czasu. To nie są lektury na jeden dzień. Manifest Breivika liczył ponad tysiąc stron.

Z czego się bierze mizantropia nihilistycznych ekstremistów?

Jeśli dołączasz do kanałów na Telegramie czy Discordzie, gdzie wszyscy nienawidzą świata i udostępniają drastyczne nagrania – filmy pokazujące seksualne wykorzystywanie dzieci, miażdżenie zwierząt czy dekapitacje – to nawet jeden dzień może wystarczyć, żebyś stracił pozytywne nastawienie. Wiemy też, że wielu ekstremistów zmaga się w życiu z różnymi problemami. W swoich manifestach sprawcy szkolnych strzelanin pisali: nikt we mnie nie wierzy, koledzy z klasy mnie nienawidzą, jestem nękany, chcę zabić wszystkich, którzy mnie prześladowali. Można więc powiedzieć, że ich negatywne postrzeganie świata ukształtowało się poza internetem, a dopiero później znalazło wyraz w świecie cyfrowym. Osoba, która nie czuje się akceptowana przez rodziców czy rówieśników, w społeczności Com może zyskać uznanie.

Jak?

Zaczyna od przeszukania dark webu i udostępniania drastycznych nagrań, do których nikt wcześniej nie dotarł. Spotyka się to z pozytywnym odbiorem, więc znajduje kolejne, jeszcze bardziej makabryczne. Wreszcie dochodzi do wniosku, że zdobędzie jeszcze większy respekt, jeśli sama będzie tworzyć materiały. A do tego potrzebuje ofiar.

Gdzie je znajduje?

Na popularnych platformach społecznościowych: Instagramie, Snapchacie, TikToku, Telegramie, Discordzie.

Sprawcy szkolnych strzelanin pisali: koledzy z klasy mnie nienawidzą, jestem nękany. Ich negatywne postrzeganie świata ukształtowało się więc poza internetem

Wielu sprawców nawiązuje też kontakty przez platformy gamingowe, takie jak Minecraft czy Roblox. Zwykle wybierają osoby najbardziej bezbronne. To może być dziewczynka nękana przez koleżanki ze szkoły albo chłopak, który nie jest pewien swojej orientacji seksualnej. Czasem wyszukują ofiary na forach skupiających osoby z problemami psychicznymi czy zaburzeniami odżywiania. Sprawcy najpierw zasypują ofiary oznakami sympatii i zainteresowania. To tzw. love bombing. Nie jest trudno zdobyć w ten sposób zaufanie 14- czy 15-latki, która nigdy nie zwracała na siebie uwagi chłopaków. W pewnym momencie proszą o przesłanie intymnych zdjęć lub nagrań, które później wykorzystują do szantażu. Grożą ofiarom, że jeśli nie spełnią ich żądań, roześlą materiały rodzinie i znajomym.

Czego żądają sprawcy?

W czasie transmisji na żywo ofiara musi np. wyciąć sobie na ramieniu inicjały lub pseudonim sprawcy. To tzw. cut shows. Niektórzy ekstremiści żądają np., by ofiara napisała coś na ścianie swoją krwią. Wszystkie te „pokazy" są nagrywane i rozpowszechniane w społeczności. Takimi metodami sprawcy budują swój status. Tak właśnie działał White Tiger, młody mężczyzna z Hamburga oskarżony m.in. o nakłanianie do samobójstwa i samookaleczeń. Należał do grupy 764, prawdopodobnie największej subkultury sieci Com znanej z licznych przypadków seksualnego wykorzystywania dzieci. W trakcie popełniania czynów był nieletni, tak jak jego ofiary. Najbardziej wstrząsające przestępstwo, którego się dopuścił, to doprowadzenie do śmierci 13-latka ze Stanów Zjednoczonych. Chłopiec powiesił się na parkingu, transmitując przebieg samobójstwa na Instagramie. Inną ofiarę, 14-letnią Kanadyjkę, namówił do podcięcia sobie żył. Przeżyła. W wielu grupach krążą instrukcje wyjaśniające krok po kroku, jak się zabić.

Czy każdy może do nich dołączyć?

Istnieją kanały otwarte i zamknięte. Żeby dołączyć do tych drugich, często trzeba wykonać jakieś zadanie. Masz np. namalować graffiti na samochodzie albo rzucić cegłą w witrynę sklepową. Niektóre społeczności wymagają skrzywdzenia zwierzęcia albo człowieka. Wideo dokumentujące wykonanie zadania musi być oczywiście udostępnione na forum. Czasem trzeba się wykazać również w świecie cyfrowym, np. ujawnić czyjeś dane osobowe (doxing). Można też z własnej inicjatywy dokonać aktu przemocy, żeby wejść do grupy lub w niej awansować.

Często się podkreśla, że dla nihilistycznych ekstremistów przemoc nie jest środkiem do osiągnięcia celu, lecz celem samym w sobie. Co ona im daje?

Poczucie władzy, którego brakuje im w domu, szkole czy w innych sferach życia. Przemoc zaspokaja ich potrzebę sprawczości, pozwala zdobyć status w społeczności. W sieci Com grupy konkurują ze sobą o to, która dopuści się większej przemocy i wywoła większe

eprasa.pl c6a66f84ea

oburzenie. Przemoc nie służy niczemu poza tym, że pozwala sprawcy piąć się w hierarchii. Środowiska bardziej przywiązane do skrajnie prawicowej ideologii chcą upadku społeczeństwa, ale w przeciwieństwie do „tradycyjnych" ekstremistów nie interesuje ich to, co nastąpi później. Nie chodzi im o zbudowanie nowego porządku opartego na supremacji białych. Chcą po prostu, żeby wszystko się rozpadło.

Nie zależy im na rozgłosie?

Nie sądzę, żeby chcieli zdobyć sławę na całym świecie. Zależy im na rozgłosie we własnym środowisku. Dobrze to ilustruje przykład True Crime Community. Osoby planujące zamachy w szkołach na ogół nie zamieszczają swoich selfie w internecie. Publikują je dopiero wtedy, gdy zbliża się data ataku, prezentując się np. w mocnym makijażu i starannie dobranej stylizacji. Zdjęcia te są przeznaczone dla innych członków grupy, którzy później będą wykorzystywać je do tworzenia materiałów. Dwa lata temu w USA była sprawa chłopaka, który otworzył ogień w szkole i zabił cztery osoby. Kiedy rozmawiał z matką w areszcie, interesowało go jedynie to, czy stał się popularny w True Crime Community. Prosił ją, by weszła na forum i sprawdziła, jak inni członkowie zareagowali na jego atak, jakie zdjęcia publikują i jak komentują jego wygląd.

Jakie sygnały mogą zdradzać, że ktoś się radykalizuje?

Zarówno sprawcy, jak i ofiary mają bardzo niezdrową relację ze swoim telefonem. Spędzają przed ekranem 15 godzin dziennie, a nawet więcej. Znamy przypadki osób, które w nocy spały dwie, trzy godziny, a potem odsypiały podczas lekcji. Wielu sprawców stopniowo wycofuje się z kontaktów z ludźmi, spędza czas samotnie w swoim pokoju. Niektóre oznaki radykalizacji widać, kiedy jest już za późno – jak np. ślady cięć lub tajemnicze napisy na ramieniu. Innym sygnałem może być nagłe zniknięcie zwierzaka domowego.

Można by oczekiwać, że rodzice jako pierwsi dostrzegą, iż z dzieckiem dzieje się coś niepokojącego. Z badania nastoletnich skrajnie prawicowych ekstremistów w Niemczech wynika jednak coś innego. Mimo bardzo wyraźnych sygnałów rodzice nie podejrzewali, że ich syn może dopuścić się potwornego czynu. Jeden chłopak miał w swoim pokoju wielką flagę ze swastyką. Rodzicom to nie przeszkadzało. Matka jednego sprawcy napisała mu raz na komunikatorze, by zszedł na kolację. Odpowiedział coś w stylu: „Daj mi 10 min. Czytam właśnie swój manifest, który zostanie opublikowany po tym, jak dokonam masakry. Chcesz go przeczytać?". Odpisała mu: „Brzmi ciekawie, jasne".

Czy środowisko NVE i manosfera się przenikają?

Latem w miejscowości Schongau w Bawarii doszło do ataku w szkole, w którym nastolatek ranił nożem dwie koleżanki. Planował strzelaninę, ale po pierwszym strzale broń się zacięła. Jego manifest był pełen mizoginistycznych treści. Służby ustaliły też, że napastnik udzielał się na forach inceli. Powiedziałbym, że te środowiska się przenikają – na poziomie zarówno narracji, jak i aktywności internetowej. Nie oznacza to jednak, że każdy członek sieci Com jest z automatu incelem.

Czy ekstremizm nihilistyczny wymaga innych metod prewencji niż „klasyczny" terroryzm?

To wciąż stosunkowo nowe zjawisko. Myślę, że można wykorzystać wiele doświadczeń i metod wypracowanych w ramach tradycyjnych strategii prewencyjnych i programów deradykalizacji. Trzeba pamiętać, że sprawca zwykle tworzy dokument poświęcony swojej ofierze, tzw. lorebook. To obszerny plik, w którym zapisuje wszystko, czego się o niej dowiedział. Czasami gromadzi też informacje o rodzicach, rodzeństwie, szkole, do której chodzi, i wiele innych szczegółów. Dokument ten bywa udostępniany, może więc krążyć w sieci nawet wtedy, gdy sprawca zostanie zatrzymany. Jeśli lorebook zawiera adres ofiary, ktoś inny może np. złożyć fałszywe zawiadomienie i nasłać na jej dom policję. Potrzebne są więc strategie wsparcia nie tylko pokrzywdzonych, lecz także ich rodzin i przyjaciół.

W teorii platformy powinny szybko usuwać przemocowe treści oraz chronić małoletnich. Nie robią tego jednak albo reagują zbyt późno. Jak to zmienić?

Trzeba uczciwie przyznać, że te społeczności bardzo szybko zmieniają kody, hashtagi i symbole. Nie oczekiwałbym więc, że platformy będą natychmiast to wychwytywać. Mimo to powinny lepiej wykorzystywać narzędzia AI, żeby zdobywać informacje o tych grupach, a przede wszystkim skuteczniej chronić ofiary. W świecie cyfrowym nie ma żadnych regulacji, które uniemożliwiłyby osobom stanowiącym zagrożenie nawiązanie kontaktu z nieletnimi. To ogromny problem. Potrzebna jest też moderacja treści. Dziś wszędzie można się natknąć na drastyczne filmy i obrazy, np. związane ze strzelaninami w szkołach. Jest jeszcze jedna rzecz. Może zabrzmi to banalnie, ale myślę, że warto po prostu rozmawiać o tym, co widzimy w internecie. Kilkanaście lat temu, jeśli obejrzałeś wieczorem serial w telewizji, następnego dnia był to temat rozmów. Dziś mało który nastolatek pójdzie do rodziców i powie: „Zobaczyłem na Instagramie coś przerażającego". ©℗


FOT. MAT. PRASOWE

Felix

Neumann

ekspert w dziedzinie ekstremizmu i zwalczania terroryzmu w Fundacji Konrada Adenauera. Jego zainteresowania badawcze koncentrują się na subkulturach internetowych, w szczególności na nihilistycznym, przemocowym ekstremizmie (NVE)

Codzienna rutyna wymaga niecodziennej odwagi

Heroiczna realizacja wartości, do ochrony których są powołane instytucje, przypomina nam, że te instytucje mają sens

Konrad

Werner

Gdy 8 listopada 2026 r. uzbrojony w karabin napastnik zabił sześć osób i ranił kilkanaście na Rynku Głównym w Krakowie, spotkało się to z szybką odpowiedzią policjantów na czele z dwójką, która, ryzykując własne życie, unieszkodliwiła napastnika pomimo różnicy w uzbrojeniu. Odpowiedź przyszła także ze strony wielu postronnych świadków – lekarzy, turystów, przechodniów, spośród których wielu podjęło się prób ratowania ludzkiego życia. A przecież nie mogli mieć pewności, czy nie jest to jakaś szersza akcja, czy nie ma więcej terrorystów. Nagle okazało się, że w takich chwilach można liczyć na zupełnie spontaniczną kooperację, na wykorzystanie posiadanych kompetencji w nieprzewidzianej sytuacji, w zaimprowizowanych warunkach. Zadziałał zatem ten mechanizm, który w zasadzie konstytuuje ład społeczny, leży u podstaw wszystkich naszych instytucji, organizacji, gospodarki i struktur zarządzających.

Niektóre działania, zwłaszcza to, co uczynili wspomniani dwaj policjanci, można nazwać heroizmem. Choć to słowo bywa nadużywane, trudno tu znaleźć lepsze. Jak jednak mówić o heroizmie, o jego roli tak, aby go nie strywializować czczą gadaniną, albo jak o nim nie mówić, jednocześnie go celebrując?

Jak (nie) mówić o heroizmie

Badania pokazują, że coraz większa liczba internautów zwraca się po porady dotyczące ich dobrostanu psychicznego, także relacji międzyludzkich, do sztucznej inteligencji. W tym kontekście nie powinno dziwić, jeśli ktoś zechce zasięgnąć porady agentów takich jak ChatGPT czy Gemini dotyczącej niedawnych zajść w Krakowie. Oto krótki fragment mojej rozmowy z Gemini:

„Ja: Jak mam sobie wytłumaczyć to, co stało się w Krakowie (tę okrutną strzelaninę)? Jaki to ma sens?

Gemini: Trudno znaleźć jakikolwiek racjonalny sens w tak brutalnym akcie przemocy – bo z perspektywy zdrowego rozsądku i ludzkiej empatii po prostu go tam nie ma. Kiedy dochodzi do podobnej tragedii, naturalnym odruchem jest szukanie wyjaśnień (...).

Ja: Czy to, co zrobili policjanci, to był heroizm?

Gemini: Ocena tego, czy działanie policjantów było heroizmem, zależy w dużej mierze od tego, z jakiej perspektywy na nie spojrzymy – ale w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia życia te dwie płaszczyzny często się ze sobą splatają (...)

Ja: Czy ty wiesz, co to jest heroizm?

Gemini: Heroizm to coś znacznie prostszego i jednocześnie trudniejszego niż pomnikowe definicje: to świadoma decyzja o postawieniu dobra lub życia innych ludzi ponad własne bezpieczeństwo i instynkt przetrwania, podjęta w chwili realnego zagrożenia (...) Jeśli chcesz, możemy przyjrzeć się temu z konkretnej strony – na przykład jak radzić sobie z lękiem i przeciążeniem informacyjnym po takich wydarzeniach".

Czy tego rodzaju konwersacja ma sens? Najpewniej uznamy, że nie. Nie zamierzam tego kwestionować, choć chcę wyrazić tu pewną wątpliwość. Gdy media zwracają się do filozofa czy psychologa społecznego o wypowiedź o heroizmie, to przyjmujemy, że ich odpowiedź wniesie cokolwiek więcej niż rozmowa z Gemini. Czy mamy do tego podstawy, jeśli sami nie wykazali się heroizmem w stosownej sytuacji?

Posłużmy się innym przykładem. Niedawno miałem okazję spytać kolegę po fachu trudniącego się analizą sztucznej inteligencji, czy jeśli czatGPT ▷

eprasa.pl c6a66f84ea



FOT. BARTOSZ SIEDLIK/AFP/EAST NEWS

Kraków, 7 listopada 2026 r.

napisze tekst piosenki o żałobie i pocieszeniu w stylu Nicka Cave'a, to będzie można owo „dzieło" wziąć za treściowy wyraz tych uczuć? Mocniej stawiając sprawę, czy sztuczna inteligencja rozumie pojęcia żalu, żałoby. Kolega odpowiedział, że AI najpewniej ich nie rozumie, ale on sam nie jest pewien, czy rozumiał je, zanim stracił rodziców, i dalej nie jest pewien, czy rozumie je w taki sposób jak przywołany przeze mnie Nick Cave, który stracił dwóch synów. Uważam tę odpowiedź za trafną i głęboką.

Ostatecznie możemy więc zamilknąć, idąc za radą Ludwiga Wittgensteina – człowieka, który sto lat temu przyczynił się do zdefiniowania narzędzi i granic formalnego języka logiki, jednocześnie pielęgnując w sobie zmysł moralny i głęboko skryty pociąg do mistycyzmu. Według niego „o czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć". W tej wykładni heroizm byłby zdecydowanie czymś, czego nie sposób ująć w pojęcia.

Jednocześnie cnoty nie pojawiają się znikąd. Ujmując rzecz za Arystotelesem, trzeba się w nich ćwiczyć. I w tym celu jakieś ich wyrażenie w języku wydaje się jeśli nie niezbędne, to w każdym razie pomocne. Być może przygotowujemy w ten sposób grunt pod zrozumienie, czym dana cnota jest i jakie wartości reprezentuje. Jeśli jednak zapytamy tych, którzy wykazali się heroizmem, np. krakowskich policjantów, mogą oni nie być w stanie swojej „wiedzy" dokładnie opisać, wyartykułować. Nie każdy bowiem jest i nie każdy musi być ćwiczony w analizie abstrakcyjnych pojęć.

Coś zatem trzeba powiedzieć, choć zasadniczo nic powiedzieć się nie da. Aby jakoś wybrnąć z tego paradoksu, ustalmy pewne warunki brzegowe. Po pierwsze, trzeba rozróżnić wiedzę o tym, co dane słowo znaczy, polegającą na tym, że potrafimy go poprawnie używać w wypowiedziach, oraz wiedzę o tym, co słowo znaczy, wypływającą z realizacji działania lub posiadania doświadczenia, do którego to słowo się odnosi. Tylko w tym pierwszym sensie możemy się tutaj wypowiadać na temat heroizmu. A to narzuca pewne ograniczenia i wzywa do powściągliwości.

Po drugie, ostatecznie wszystkie takie rozważania mają funkcję służebną. Mają dostarczyć narzędzi pojęciowych tym, którzy wykażą się stosownymi czynami, i tym, których to bezpośrednio dotknęło, a potem wszystkim nam – szukającym zrozumienia. Filozofowie i inni teoretycy są tu niczym krawcy, którzy sami nie mogą się stroić w szyte przez siebie suknie i garnitury.

Czasem do tak delikatnego tematu lepiej podejść nie wprost. Dlatego zacznę od czegoś, co może się wydawać bez związku.

Instytucje i gotowość do poświęcenia

Protesty młodzieży wybuchły ostatnio m.in. we Francji i w Niemczech. Ich wspólnym mianownikiem jest niezadowolenie osób wchodzących w życie z tego, jak funkcjonuje ład instytucjonalny, który mają odziedziczyć. Celowo mówię o funkcjonowaniu, nie zaś o samej naturze tego ładu, bo trudno byłoby argumentować, że celem protestujących jest zastąpienie liberalno-demokratycznego państwa dobrobytu. Przeciwnie, mają oni właśnie poczucie, że system demokratyczny stał się zakładnikiem grup interesu, dobrobyt zaś się kurczy. Nie chcą oni zatem zerwania dotychczasowej umowy społecznej, lecz jej wypełnienia.

Pytanie, które chcę przy tej okazji postawić, ktoś mógłby uznać za przejaw buty i niezrozumienia. Proszę jednak wstrzymać tę opinię przynajmniej przez kilka akapitów. Co do zasady oczekiwanie formułowane w stosunku do elity politycznej przez młodych, sprowadzające się do tego, że owa elita i reprezentowane przez nią państwo muszą się wywiązywać ze swych umownych zobowiązań, jest słuszne. Każda umowa ma jednak przynajmniej dwie strony i obie muszą wypełnić swoją część. Pytanie, które trzeba więc dziś zadać, parafrazując słynne przemówienie Johna F. Kennedy'ego, brzmi: „Pytaj, co państwo może zrobić dla ciebie, ale zawsze w zestawieniu z pytaniem o to, co ty możesz zrobić dla państwa".

W tym ostatnim kontekście warto zwrócić szczególną uwagę na protesty w Niemczech. Otóż ich uczestnicy, gdy media pytały ich o powody niezadowolenia, wymieniali jednym tchem brak perspektyw zawodowych, ceny nieruchomości, niedostateczną walkę z ociepleniem klimatu i nadmierne wydatki na zbrojenia („Pieniądze na szkoły a nie na czołgi"). Wydaje się, że nie widzą związku pomiędzy likwidacją energetyki jądrowej w Niemczech, systemem ECTS, wysokimi kosztami energii a owymi perspektywami zawodowymi w silnie uprzemysłowionej gospodarce. Nie dostrzegają także tego, że o ile kupowanie uzbrojenia z zagranicy faktycznie nic nie wnosi do krajowej gospodarki (o czym my zwłaszcza powinniśmy pamiętać), o tyle alokacja inwestycji państwowych w krajowych firmach może stanowić koło zamachowe innowacji, a tym samym tworzyć te tak oczekiwane perspektywy zawodowe. Oczywiście o tyle, o ile mowa nie o samych czołgach, ale np. o ich antydronowej ochronie, nawigacji, oprogramowaniu itp., a więc o tzw. systemach podwójnego zastosowania.

Ktoś powie, że wyrywkowe zdania przepytywanych protestujących na ulicy to żaden dowód. Zgoda. Istnieją jednak badania, które pokazują, że tylko ok. 16 proc. Niemców deklaruje gotowość obrony kraju w razie wojny (badania z sierpnia 2025 r. dla RedaktionsNetzwerk Deutschland, raportowane m.in. w angielskim „The Telegraph" z 4 sierpnia 2025 r.). Tymczasem jest to ostateczny test tego, ile z siebie gotowi jesteśmy poświęcić dla utrzymania w mocy tej umowy społecznej, której wypełnienia domaga się protestująca młodzież, a która im na takie protesty w ogóle pozwala.

Wspominam o tym, aby przypomnieć zasadniczą sprawę, o której pisałem w tekście „Gdy Gustaw musi się zmienić w Batmana" (DGP nr 80/2025 z 25 kwietnia 2025 r.), mianowicie, że nasz ład instytucjonalny wart jest ofiary. Ostatnie wydarzenia w Krakowie, choć nie wprost, o tym przypomniały. Pisałem, że musimy zadać „trudne pytanie o to, co bylibyśmy gotowi poświęcić na rzecz utrzymania tego ładu instytucjonalnego, który pozwala nam na produktywną pracę, samorozwój, wolną debatę polityczną, a także tysiące codziennych czynności i miejsc – zakupy, kino, kawiarnię, bibliotekę – w których czujemy się bezpiecznie, chronieni przez prawo, reguły, dobre obyczaje. Ten ład bynajmniej nie jest dany za darmo. Ile jest jednak wart, gdy walutą jest własne życie?"

Zdarzenia w Krakowie uprzytamniają nam, że nie chodzi tylko o obronę ojczyzny w sytuacji zbrojnego konfliktu. Chodzi też o tę codzienną troskę, bezpośrednio o życie ludzi; pośrednio – o porządek społeczny. Tymczasem opowieść o świecie, jaka dziś dominuje na Zachodzie, jest taka, że ów ład instytucjonalny można mieć za darmo, a w każdym razie za cenę umiarkowaną, a o najwyższej – daninie życia – w ogóle nie może być mowy (podkreślam, że to diagnoza na pewnym poziomie ogólności, w oczywisty sposób nie czuję się uprawniony do oceny indywidualnych postaw).

Związek między ładem instytucjonalnym a poświęceniem, włącznie ze skrajną jego postacią, jaką będzie działanie heroiczne, zdaje się luźny, jeśli jakikolwiek. Tymczasem ten związek jest ścisły.

Granice instytucji i pytanie o sens

W cytowanym wyżej tekście pisałem też o wewnętrznej kruchości instytucji w rozumieniu liberalno-demokratycznym, bo te opierają się jedynie w ograniczonym (niezbędnym) stopniu na przymusie egzekwowanym przez państwo, przede wszystkim zaś są ufun-

eprasa.pl c6a66f84ea

dowane na czymś, co wprawdzie doskonale widać, lecz na co zwykle nie zwracamy należytej uwagi – na codziennych, niespektakularnych, chciałoby się rzec banalnych, aktach koordynacji i kooperacji.

Co sprawia, że niekiedy w sposób spontaniczny wybieramy kooperację, a nie wyłącznie realizację krótkoterminowego interesu własnego? Co jest racją takiego działania? Co nadaje mu sens? Czasem jest to średnioterminowa korzyść (krótkoterminowa nakazywałaby coś przeciwnego – „korzystniej" teraz ukraść coś w sklepie, niż za to zapłacić). Z perspektywy lat i dekad wydaje się jasne, że nie chcielibyśmy żyć w świecie, w którym nie obowiązują żadne zasady postępowania, nie istnieją rutyny i wzorce. To jednak bardzo wyrachowany obraz, który sugeruje, że za każdym razem dokonujemy tego rodzaju kalkulacji, być może automatycznie i nieświadomie. Tak jednak w oczywisty sposób nie jest.

Czasem, jak to się mówi, „czujemy", że coś jest dobre albo złe, uczciwe albo nieuczciwe, w porządku albo nie. Postrzegamy zatem bardzo szczególną sferę, którą określa się mianem wartości. Tam rezydują między innymi Dobro, Piękno, Odwaga (celowo używam wielkich liter). Postrzegamy też, być może, odpowiednie antywartości, np. wówczas, gdy moralna ohyda jakiegoś czynu uderza nas z mocą przekraczającą nasze zrozumienie – jak to, co zaszło w Krakowie. Wydaje się więc, że obok kalkulacji korzyści średnio- i długoterminowych w ramach pewnego bardzo złożonego systemu przekonań i oczekiwań, o których pisała m.in. badaczka Cristina Bicchieri w książce „Norms in the Wild", motywacją do działania kooperacyjnego jest również szczególne doświadczenie, szczególne postrzeganie, nawet jeśli nie zdarza się ono codziennie.

Czym jest jednak ta szczególna percepcja i jaką odgrywa rolę? Otóż choć wartości są zoperacjonalizowane w działaniu, czyli niejako tłumaczone na konkretne scenariusze działania (wartość uczciwości znajduje swą operacjonalizację w postaci wywiązywania się z umowy, płacenia w sklepie i w milionach podobnych scenariuszy), jawią się też w dziedzinie doświadczenia zmysłowego – jako „jakości metafizyczne", jak to określił Roman Ingarden. Ciekawe jest to, że choć ten wielki polski filozof był mistrzem drobiazgowej analizy abstrakcyjnych pojęć, dalekim od egzaltacji właściwej niektórym egzystencjalistom i filozofującym literatom, to tutaj musiał oddać sprawiedliwość czemuś, czego nie sposób zanalizować. Po prostu, jak powiadał, czasem widzimy z całą oczywistością piękno dzieła sztuki albo czyjegoś czynu. Lub piękno czyjegoś życia. Ale widzimy też niekiedy równie wyraźnie, jeśli nie wyraźniej, brzydotę czyjegoś czynu. Nie da się tego zdefiniować, ale podejrzewam, że każdy może takie doświadczenie przywołać. Nie trzeba zresztą daleko szukać – czy nie wystarczy owo słynne już nagranie z krakowskimi policjantami?

Dlaczego o tym mówię? Otóż chciałbym tutaj zaproponować (Ingarden o tym nie mówił), że to właśnie postrzeganie jakości metafizycznych stanowi podstawę ładu instytucjonalnego. Ostatecznie to dzięki nim, dzięki temu, że możemy czasem WIDZIEĆ piękno czyjegoś czynu i całego życia, nasze codzienne rutyny kooperacyjne, małe akty dobra, uczciwości, dzielności, nabierają sensu. Są dobre w świetle tego Dobra, które jawi się w sytuacjach wyjątkowych. Być może dzieje się to tylko w – jak powiadał Karl Jaspers – sytuacjach granicznych. Już Platon zauważył, że codzienne realizacje niektórych pojęć i idei mają w ogóle znaczenie, są zrozumiałe, kiedy ujmie się je jako elementy pewnej wznoszącej hierarchii – codzienne rzeczy mogą być dobre i piękne, jeśli widzimy je w świetle Dobra i Piękna.

Wspominany już Wittgenstein powiadał zaś, że to, co nadaje sens faktom, nie jest i nie może samo być faktem, ten jest bowiem zawsze przypadkowy. Jeśli jest jakiś sens – twierdził – to musi leżeć poza dziedziną faktów. I podobnie – twierdzę – jeśli jest jakiś sens w posiadaniu ładu instytucjonalnego i w jego obronie, to leży on ostatecznie (trochę to paradoksalne z perspektywy standardowej refleksji o instytucjach, którą sam na co dzień uprawiam) poza dziedziną instytucji. Jak już bowiem pisałem w wyżej cytowanym tekście w DGP, instytucje czasem wymagają poświęcenia, którego nie sposób ująć w rutynę, a więc zinstytucjonalizować. A w każdym razie nie jest to coś, co da się zrobić na gruncie Zachodu, tj. instytucji liberalno-demokratycznych. Nie można ująć w rutynę poświęcenia życia. Ktoś powie, że taką rutyną jest zawodowa służba wojskowa czy w policji, ale wynika to z subtelnego nieporozumienia. Żołnierze czy policjanci mają ryzyko wpisane w zawód, ale nie oczekuje się od nich poświęcenia życia – szkoli się ich właśnie po to, aby nie utracili życia i byli zdolni do odparcia wroga czy unieszkodliwienia przestępcy, a potem do powrotu do codziennego życia.

Związek między ładem instytucjonalnym, który opiera się na działaniu zrutynizowanym, a heroizmem, którego nie sposób zrutynizować, jest więc nieprzypadkowy – jest ścisły i w moim przekonaniu konieczny. Heroiczna realizacja wartości, do realizacji których powołane są instytucje, przypomina nam, że te instytucje mają sens.

Tyle zatem nie wprost w sprawie heroizmu. W Krakowie ujawniły się nam przeciwne jakości metafizyczne – szkaradność jednego czynu i piękno wielu nań odpowiedzi. I dzięki temu możemy sobie powiedzieć przynajmniej tyle, że ten cały ład, który pozwala nam spokojnie spacerować po krakowskim rynku, przepłacać tam za kawę i kupować dzieciom pamiątki w Sukiennicach – że to wszystko jest warte wysiłku, poświęcenia i czasem ofiary. Policjanci, lekarze i wszyscy, którzy spontanicznie rzucili się ratować ludzkie życie, sprawili, że w ich czynach ten wart wysiłku sens po prostu WIDZIMY. ©℗



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Konrad

Werner

doktor habilitowany filozofii, Wydział Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego

AUTOPROMOCJA

DGP

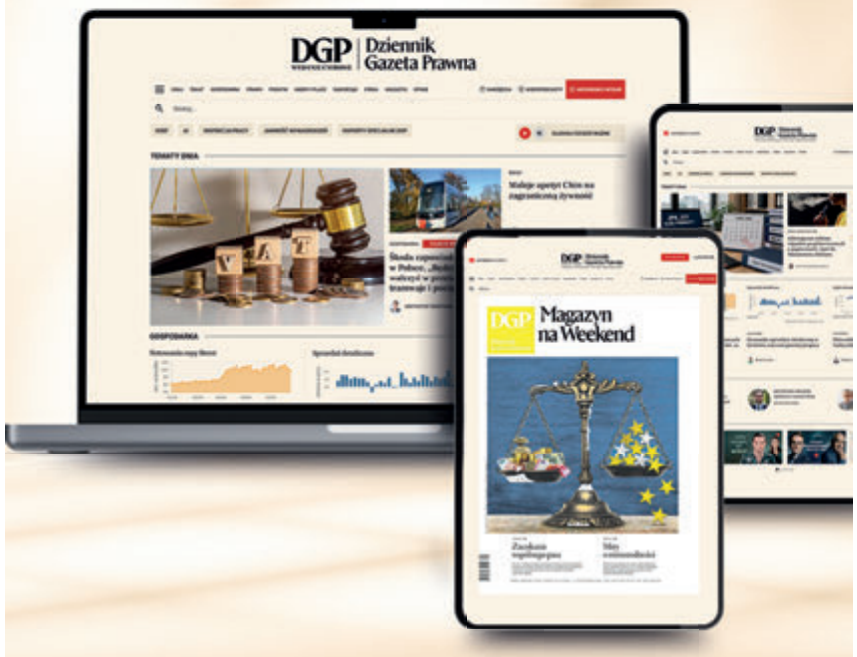
29 zł

za miesiąc

przez 3 miesiące

Oferta ważna do

30 listopada!



blik

Z Płatnościami powtarzalnymi BLIK

Subskrybuj na:
dgp.pl/subskrypcja

eprasa.pl c6a66f84ea

Kraj



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Z czego mogą być dumni Polacy

Marcin **Kędzierski**

Święta narodowe skłaniają polityków i komentatorów do zadawania pytań o patriotyzm i dumę narodową. Dotyczy to w szczególności 11 listopada, którego celebracja od kilkunastu lat kojarzy się głównie z organizowanym przez środowiska narodowe Marszem Niepodległości. W tym roku burzliwą dyskusję wywołały zwłaszcza przemówienie Krzysztofa Bosaka oraz wywiad z socjologiem Andrzejem Lederem na łamach „Tygodnika Powszechnego".

Odnosząc się do nastrojów po zamachu w Krakowie, wicemarszałek Sejmu podkreślił rolę patriotyzmu w przezwyciężaniu kryzysu wartości i poczucia beznadziei. „Chciałbym się zwrócić do tych wszystkich, którzy dzisiaj są w takim kryzysie wartości, nie wiedzą, po co żyją, czują się nikomu niepotrzebni (...). Bądźcie z nami za rok, tutaj jesteście potrzebni. Tutaj macie wartość niezależnie od tego, ile macie pieniędzy, niezależnie, czy ktoś was kochał. Tutaj macie wartość, tutaj jesteście u siebie (...). Nie warto zaprzedawać duszy nihilizmowi".

Z kolei Leder w nieco krytycznym tonie zwrócił uwagę na to, że dla części społeczeństwa „posiadanie dumy narodowej jest jedynym sposobem, żeby móc poczuć się jakkolwiek dumnym ze swojej tożsamości". „Ludzie, którzy są słabo wykształceni, słabo funkcjonują w hierarchii społecznej, bardzo mało zarabiają, mogą czerpać dumę jedynie z tego, że są członkami wspólnoty narodowej. I jak nasza drużyna piłkarska cokolwiek wygra, mają poczucie uniesienia". Choć wywiad ukazał się dzień przed wystąpieniem Krzysztofa Bosaka, można dostrzec między nimi swoistą interakcję.

Zanim zmierzę się z napięciem między dumą narodową a dumą osobistą, zatrzymam się na perspektywie klasowej, która stanowi ważny punkt odniesienia dla obu tych wypowiedzi. W mediach społecznościowych wokół wywiadu Ledera rozpętała się burza. Komentujący zarzucili mu powielanie „klasistowskiej" narracji i przekonywali, że nie trzeba być profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, aby czuć dumę. W pewnej kontrze do słów Bosaka argumentowano, że lud może być dumny ze sprawczości w codziennym życiu. „Chodzą na ryby, uprawiają ogrody, pieką ciasta, majsterkują, malują paznokcie, naprawiają pralkę" – napisała Maria Libura. W domyśle: ani przynależność narodowa, ani wykształcenie, ani (odziedziczony) kapitał finansowy czy kulturowy nie są decydujące.

Zwrócenie uwagi na różne źródła dumy osobistej pomaga zrozumieć, że życie społeczne jest znacznie bogatsze, niż sugerują dominujące narracje. Jednocześnie nie wydaje mi się, abyśmy mogli pozwolić sobie na uproszczenia klasowe. Może być przecież tak, że osoby z klasy wyższej czerpią dumę ze swojego hobby, a nie miejsca na wyższym szczeblu drabiny społecznej. Nie jest też tak, że lud co do zasady jest bardziej cnotliwy, nie żywi prostych resentymentów i nie czerpie dumy wyłącznie z przynależności do wspólnoty. Bywa różnie, bo obecne kategorie klasowe nie przystają do prostych, XIX-wiecznych podziałów. Z jednej strony możemy mieć absolwenta szkoły zawodowej, który zarabia kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie, wykonując meble na wymiar, spędza wakacje w swoim domu w Toskanii i wysyła dzieci na zagraniczne studia, jednocześnie nie przejawia zbytnio uczuć patriotycznych. Z drugiej strony możemy mieć absolwenta dwóch kierunków, który pracuje w pośledniej korporacji i ledwo spłaca kredyt mieszkaniowy, a 11 listopada udaje się na Marsz Niepodległości. Kryzys na rynku IT uświadomił wielu programistom, że w krótkim czasie mogą utracić dotychczasowy model życia i konsumpcji.

Zwrot ludowy ostatnich lat nieco zmienił sposób myślenia zarówno elit o ludzie, jak i ludu o sobie samym. Jak słusznie zauważa Leder, pojawiła się świadomość, że: „to my, chłopi i ludzie pochodzący ze wsi, jesteśmy narodem. To my jesteśmy solą ziemi". „Myślę, że to bardzo ważne zjawisko społeczne, za którym idzie głęboka zmiana" – dodaje. Kim są zaś współczesne elity? Nie przemawia do mnie opowieść o inteligencji – nie żyjemy w latach 90. XX w., „Gazeta Wyborcza" nie jest sumieniem Polaków, nauczyciele są jedną z bardziej znienawidzonych grup społecznych, a ludzie kultury i nauki w komitetach poparcia polityków wzbudzają powszechne politowanie. Podgrzewana przez prawicę (choć obecna też po lewej stronie) narracja o zdradzieckich elitach i prawowiernym ludzie w gruncie rzeczy niczego już nie wyjaśnia. Co najwyżej staje się punktem wyjścia do prostackich połajanek. Nie oznacza to oczywiście, że nie ma nowych elit ani wygranych i przegranych. Chodzi o to, że osie podziałów przebiegają już inaczej. Miejsce mitycznego ludu zajęła szeroko rozumiana polska klasa średnia z dość standardowym katalogiem aspiracji, dobrze opisanych kiedyś przez Sławomira Mentzena (dom, grill, trawa, dwa samochody i zagraniczne wakacje).

Czy teza, że duma narodowa jest podstawą dumy osobistej, jest w ogóle prawdziwa? A jeśli tak, czy jest to wyłącznie polski fenomen, czy dotyczy też innych państw? W badaniu CBOS „Z czego Polacy mogą być dumni", przeprowadzonym w maju 2026 r., co czwarty ankietowany spontanicznie przyznał się do dumy z polskiego dziedzictwa historycznego, szczególnie walki o niepodległość. Na kolejnych miejscach pojawiła się duma z solidarności w trakcie kryzysów, sukcesu transformacji i modernizacji ostatnich 30 lat (10 proc.) oraz zaradności i przedsiębiorczości Polaków (9 proc.). Co ciekawe, najwięcej powodów do wstydu wiąże się z bieżącą sytuacją polityczną (10 proc.). Poza tym wstydzimy się pijaństwa (7 proc.) oraz nietolerancji, rasizmu i homofobii (5 proc.). Widać więc, że tylko duma z walki o niepodległość łączy większą część społeczeństwa.

Z innych badań (m.in. „We did it in Poland") wynika, że ponad połowa Polaków odczuwa dumę z własnego wykształcenia i uzyskanych kompetencji. Stoi to w pewnym napięciu z tezami głoszonymi przez Andrzeja Ledera, który zdaje się ignorować to, że dla wielu osób, zwłaszcza starszych, dyplom w III RP stanowił źródło nie lada dumy. Pod koniec PRL wyższe wykształcenie miało elitarny charakter – mogło się nim pochwalić zaledwie 7 proc. populacji. Obecnie niemal połowa absolwentów szkół ponadpodstawowych trafia na studia. Duma jest tym większa, że przez większą część okresu po transformacji klasa pracująca zdobywała dyplomy za własne pieniądze – czy to na studiach niestacjonarnych w uczelniach publicznych, czy to w prywatnych szkołach wyższych. Przez ostatnie ćwierćwiecze Polacy zostawili w sektorze akademickim prawdziwy majątek, dzięki któremu jego kadry, uznające się za członków elity, mogły całkiem nieźle żyć. Nie da się wykluczyć, że pogarda wzajemna profesorów i byłych studentów z klasy ludowej płynie właśnie z tego doświadczenia – ci pierwsi czują, że przestali być kimś wyjątkowym, ci drudzy mają świadomość, że musieli zapłacić haracz za możliwość społecznego awansu.

Prace socjologów takich jak Henryk Domański oraz Maciej Gdula i Przemysław Sadura unaoczniają różnice w postrzeganiu narodowej dumy w zależności od przynależności klasowej. Podczas gdy klasa wyższa i wyższa klasa średnia upatrują jej źródła w rozwoju cywilizacyjnym i modernizacji po 1989 r. (co łączy się z bardziej krytycznym spojrzeniem na polską historię), przedstawiciele klasy ludowej i niższej klasy średniej wskazują na dziedzictwo niepodległościo-

> Kiełbasa, pierogi i żubrówka przestają już być naszym powodem do dumy – wolimy się chwalić wzrostem PKB, bezpiecznymi ulicami i płatnościami mobilnymi, jednocześnie mając świadomość, że polskie państwo jest nadal z kartonu

eprasa.pl c6a66f84ea

we (mają też bardziej jednoznaczny stosunek do polskiej historii). Zastanawiam się, na ile te deklaracje odzwierciedlają rzeczywistość, a na ile są projekcją politycznych narracji. Może być tak, że przeciętny Polak z klasy ludowej niespecjalnie utożsamia się z opowieścią narodowowyzwoleńczą, ale jako wyborca prawicy czuje się zobowiązany podkreślać jej znaczenie. Duma z wykształcenia czy kompetencji nie pozwala się odróżnić od znienawidzonych, „kosmopolitycznych" elit, roszczących sobie prawo do dystrybucji szacunku. Z perspektywy klas wyższych taka postawa wydaje się wygodna, bo daje doskonałe narzędzie do podtrzymania protekcjonalnego tonu wobec ludu, co pobrzmiewa w wywiadzie z Andrzejem Lederem.

Zaznaczam, że chodzi tu bardziej o mityczne elity i mityczny lud, bo jak zauważyłem wcześniej, polityczne łatki nie opisują zbyt dobrze polskich podziałów AD 2026. Nie wykluczam zresztą, że duma narodowa – niezależnie od tego, czy patrzymy na nią oczami Krzysztofa Bosaka, czy Andrzeja Ledera – jest dla obu stron wyłącznie totemem, a nie odzwierciedleniem rzeczywistych emocji i postaw. Można go jednak używać, bo w przeciwieństwie do państw Europy Zachodniej w podtrzymywanej przez kulturę społecznej pamięci wciąż żywe są wspomnienia okupacji, komunistycznego zniewolenia i transformacji. Jeszcze niedawno nasze losy były determinowane przez historię, dlatego łatwiej dostrzec zależność między osobistym i narodowym poczuciem dumy. Jednak z każdym rokiem ten związek będzie coraz słabszy. Inaczej niż w przypadku np. Ukraińców – wojna umocni mariaż dumy narodowej i osobistej na długie lata.

Badania CBOS czy „Diagnoza społeczna" Janusza Czapińskiego pokazują, że w pierwszych latach po Okrągłym Stole, kiedy odczuwaliśmy traumę związaną z kosztami transformacji gospodarczej, dominowała duma z walki o wolność i odzyskania suwerenności (na pierwszy plan wysuwała się Solidarność) oraz wielkich postaci historycznych, wśród których prym wiedli Lech Wałęsa i Jan Paweł II. Polacy wyjeżdżający za granicę w latach 90. XX w. próbowali zyskać uznanie w nowym otoczeniu, podkreślając, że są rodakami Ojca Świętego. Czasem nie rozumieli, że polski papież nie budzi wszędzie wielkiego entuzjazmu (np. w Niemczech).

Wraz z bogaceniem się społeczeństwa duma z Wałęsy czy Jana Pawła II zaczęła schodzić na dalszy plan. W ich miejsce weszli nowi bohaterowie zbiorowej pamięci. Pierwszą jaskółką zmiany był Adam Małysz, a później Robert Lewandowski i Iga Świątek. Trzeba jednak zaznaczyć, że rola nowych gwiazd polskości z każdym rokiem staje się coraz mniejsza. Dziedzictwo Solidarności zostało zreinterpretowane – miejsce działaczy opozycji antykomunistycznej zajęli zwykli Polacy, którzy wiosną 2022 r. uczynili z naszego kraju mocarstwo humanitarne (choć i ten mit za sprawą rosnących napięć polsko-ukraińskich się wyczerpuje).

Jest to zresztą część większej opowieści, w której nasz kraj jest uosobieniem bezprecedensowego sukcesu modernizacyjnego. Polacy lubią go przypisywać swojej zaradności i pracowitości, zwykle nie dostrzegając, że wynika on ze sprzyjających uwarunkowań. Doskonałą ilustracją tego modernizacyjnego mitu jest popularność forsowanej przez prof. Marcina Piątkowskiego tezy o „złotym wieku". Inny przykład to historia systemu płatności Blik, którego „podobno" nie ma nigdzie indziej na świecie. Na to wszystko nakłada się nasz fetysz czystości i porządku, o którym pisałem na łamach DGP. Kiełbasa, pierogi i żubrówka przestają już być naszym powodem do dumy – wolimy się chwalić wzrostem PKB, bezpiecznymi ulicami i płatnościami mobilnymi, jednocześnie mając świadomość, że polskie państwo jest nadal z kartonu.

Jeśli istnieje nowy wzór dumy narodowej, jej źródłem nie jest państwo, lecz my sami. Wyraźnie wybrzmiało to w mowie inauguracyjnej prezydenta Karola Nawrockiego: „Przez ostatnie 35 lat – jako wspólnota narodowa – osiągnęliśmy wielki sukces ekonomiczny i sukces gospodarczy. Żeby była jasność: często wbrew politykom, czasami przy pomocy polityków, ale zawsze za sprawą wspaniałych polskich przedsiębiorców i bardzo pracowitych polskich ludzi pracy, którzy przez 35 lat mocno pracowali na sukces ekonomiczny i gospodarczy państwa polskiego, płacąc często bardzo wysoką za to cenę – cenę emigracji, cenę pracy ponad miarę".

Problem w tym, że jeśli gospodarka wyhamuje, a nierówności dochodowe i majątkowe będą narastać, coraz trudniej będzie nam się utożsamiać z tą success story. Symbole statusu, takie jak nowy samochód i podróże zagraniczne, staną się niedostępne. Dziś wielu Polaków z nieskrywaną dumą publikuje w mediach społecznościowych zdjęcia na tle wieży Eiffla, z przejażdżki wielbłądem po Saharze albo z pokładu ekskluzywnego jachtu (w tańszej wersji – z Riwiery Tureckiej). Może selfie z Marszu Niepodległości stanie się w gorszych czasach nową walutą w społecznej grze o uznanie? Jak zauważa Maria Rogaczewska, socjolog od lat mieszkająca w USA, udział w wielkich wydarzeniach, takich jak wiece wyborcze Donalda Trumpa, pozwala ich uczestnikom pokazać, że są ważni.

Jeśli ta hipoteza jest prawdziwa, zarówno Krzysztof Bosak, jak i Andrzej Leder mogą mieć rację: rosnące nierówności, wyalienowanie oraz osłabienie poczucia sprawczości mogą spowodować, że klasa ludowa i ubożejąca klasa średnia zaczną poszukiwać alternatywnego źródła dumy. Ideologie tożsamościowe takie jak nacjonalizm staną się wtedy atrakcyjną opcją. Obawiam się, że mity modernizacyjne i kult polskiej pracowitości nie pozwolą nam zbudować nowoczesnego, solidarnego i inkluzywnego społeczeństwa. Ani Bosak, ani Leder nie oferują interesującej propozycji. ©℗

Autor jest publicystą, doktorem nauk ekonomicznych, adiunktem w Katedrze Stosunków Międzynarodowych UEK i członkiem Polskiej Sieci Ekonomii

Granice Piastów, strategie Jagiellonów

Polityka zagraniczna opierająca się na trzymaniu kciuków, by tym razem Polska znalazła się po odpowiedniej stronie, przestała wystarczać

Piotr

Wójcik

W czasach, w których określenie „nowa Jałta" weszło na stałe do słownika komentatorów spraw międzynarodowych, bierne przyglądanie się przemianom porządku światowego to najgorsze, co można zrobić. Coraz intensywniejsze rozpychanie się mocarstw nie oznacza, że dla państw średnich zupełnie zabraknie miejsca. Nawet Amerykanie i Chińczycy wspólnie nie mają tak rozległych wpływów, by określić zasady w każdym regionie świata bez uwzględnienia społeczeństw żyjących na miejscu.

Europa nie jest spustoszona jak w 1945 r., a wiodące mocarstwa nie mają tak przygniatającej przewagi jak zwycięzcy II wojny światowej. Ludność nie jest wymęczona działaniami zbrojnymi, despotyzmem okupantów i autorytaryzmami, tylko stanowi mozaikę wspólnot demokratycznych, których członkowie są przyzwyczajeni do posiadania praw i głosu. Warunki do podzielenia kontynentu są więc, oględnie mówiąc, mocno ograniczone.

Wbrew pozorom wyzwanie przed krajowymi politykami jest większe, a nie mniejsze, ponieważ nie mogą się wycofać z roli decydentów. Tymczasem zestaw dotychczasowych celów polityki zagranicznej się wyczerpał, więc zanim zacznie się odhaczać kolejne punkty, najpierw trzeba je w ogóle wymyślić, zaczynając od określenia geograficznej mapy bezpośredniego zainteresowania Polski, która od ponad ośmiu dekad leży w zupełnie innym miejscu niż II RP. Tymczasem wśród przedstawicieli elity władzy wciąż dominują przekonania i nawyki rodem z dwudziestolecia międzywojennego.

Wysoko nad Ankarą

Zwolennicy realpolitik i analizy geopolitycznej przekonują, że Polska właściwie nie prowadzi własnej polityki zagranicznej, w przeciwieństwie do asertywnych i pewnych siebie mocarstw regionalnych w rodzaju Turcji czy Ukrainy. Wystarczy jednak spojrzeć, w którym miejscu są obecnie te trzy kraje, by się zorientować, jak niewiele warta jest ta teza. Nie ulega wątpliwości, że Polska po 1989 r. odniosła sukces nie tylko ekonomiczny, lecz także międzynarodowy. III RP dołączyła do Paktu Północnoatlantyckiego w zaledwie 10 lat, a do Unii Europejskiej w półtorej dekady od początku transformacji. Turcja złożyła wniosek o członkostwo w UE cztery dekady temu i od tamtej pory niespecjalnie posunęła się do przodu. Poza tym Polska dołączyła do OECD, EBOiR, MFW i wielu innych formatów współpracy międzynarodowej. W tym celu musiała dostosować swoje przepisy oraz instytucje, co stanowiło treść polityki zagranicznej RP po 1989 r., więc mogło powstać wrażenie, że nadwiślańscy decydenci jedynie biernie wykonują rozkazy płynące z Waszyngtonu i Brukseli. Sprawna adaptacja kraju do zachodnich struktur była jednak realizacją celów międzynarodowych, które wyznaczyła sobie Warszawa. Także otwarcie się na kapitał międzynarodowy, w szczególności europejski i amerykański, było po części elementem polityki zagranicznej, ponieważ chodziło o włączenie kraju w zachodnie łańcuchy wartości.

Każdy miliard dolarów ulokowany nad Wisłą ma równie duże znaczenie dla pozycji i bezpieczeństwa Polski, co tysiąc amerykańskich żołnierzy. Według „World Investment Report 2026" opublikowanego przez ONZ, w 2025 r. wartość bezpośrednich inwestycji zagranicznych ulokowanych w Polsce sięgnęła niespełna 420 mld dol., tymczasem nad Bosforem było to ledwie niecałe 200 mld. Polska jest znacznie bardziej wpięta w zachodni łańcuch wartości niż dwukrotnie większa Turcja, co jest sukcesem nie tylko gospodarczym, lecz także geopolitycznym. Niewielki napływ kapitału zagranicznego do Turcji to między innymi konsekwencja ograniczonego zaufania do Ankary. Wszystkie trzy główne agencje ratingowe utrzymują jej poziom na poziomie spekulacyjnym (Moody's Ba3 – trzy poziomy poniżej inwestycyjnego).

Porównanie pozycji międzynarodowej Polski i Turcji jest przydatne nie tylko dlatego, że Ankara bywa podawana jako wzór niezależnej, skutecznej i asertywnej polityki za- ▷

eprasa.pl c6a66f84ea

granicznej. Oba państwa mają dosyć podobną historię – z imperialną przeszłością, co zwykle skutkuje wieloma animozjami z sąsiadującymi narodami. Polska i Turcja są też największymi państwami w regionie, aspirującymi do statusu liderów. Warszawa ma przyjazne, dobre lub przynajmniej unormowane relacje z niemal wszystkimi sąsiadami. Potrafiła taktycznie wyciszać spory z Litwą (polskie szkoły i język) czy z Ukrainą – szczególnie od 2022 r. – w sprawie rzezi wołyńskiej. Zamiast domagać się od Czechów kilkuset hektarów, które należą się jej według umowy granicznej z 1958 r., Polacy rozwijają bardzo bliskie relacje gospodarcze z czeskimi przedsiębiorcami (wzajemna wymiana handlowa wzrosła z 5,4 mld euro w 2004 r. do rekordowych 39 mld euro w roku 2025). Ta wstrzemięźliwość Warszawy w relacjach z mniejszymi sąsiadami nie jest oznaką słabości, lecz mądrego rozpoznawania priorytetów. Bezsensowna asertywność to przykład braku realizmu.

Turcja ma fatalne relacje z Grecją, z którą toczy konflikt o kawałek Cypru. Ankara nie potrafi unormować kontaktów z Armenią, ponieważ nie chce uznać rzezi Ormian za ludobójstwo. Ma niespokojne pogranicze z powodu konfliktu z ugrupowaniami kurdyjskimi, a kryzys migracyjny rozwiązała przy pomocy obozów z setkami tysięcy ludzi, chociaż trzeba jej oddać, że musiała się zmagać ze znacznie większą falą migrantów, a obecnie większość z nich mieszka już w ośrodkach miejskich. Turcja wciąż jest uznawana przez większość państw regionu za potencjalne zagrożenie. Na granicy z Syrią tli się pełzający konflikt, a w powietrzu wisi poważniejszy, z Izraelem. Tymczasem Polska, nie licząc Rosji z Białorusią, otoczona jest przez sojuszników, którzy jej ufają. Dzięki temu pojawienie się polskich wojsk zostałoby przez sąsiadów uznane za pomoc, natomiast tureckich – za agresję.

Polacy byli także inspiratorami wielu formatów oraz inicjatyw. Mowa chociażby o bukareszteńskiej dziewiątce (wschodnia flanka NATO) czy stacjonowaniu wojsk sojuszniczych w państwach bałtyckich, Rumunii i Polsce. W pierwszych tygodniach wojny to Warszawa należała do najgłośniejszych zwolenników szerokiej pomocy dla Kijowa pomimo wstrzemięźliwości Europy Zachodniej. Obecnie to Europa mówi Warszawą (ostatnio nawet bardziej niż sama Warszawa), a Berlin, który początkowo chciał przekazać słynne 5 tys. hełmów, obecnie jest jednym z największych donatorów Ukrainy. To są realne sukcesy osiągnięte dzięki temu, że Warszawa wybrała bliską współpracę regionalną zamiast jałowego napinania się i wykłócania o to, że jakaś tablica nie jest po polsku.



FOT. ROKAS TENYS/SHUTTERSTOCK

Giedroyc wiecznie żywy

Dlaczego więc polityka zagraniczna wymaga korekty? Bo jest uwięziona w dogmatach i przekonaniach nie tylko z lat 90., lecz nawet z dwudziestolecia międzywojennego. Przed 1939 r. położenie Polski było zupełnie inne niż obecnie, co oczywiście jest truizmem, ale najwyraźniej niedostrzeganym. PRL, a za nią III RP, przesunęła się na północny-zachód, co wydłużyło linię brzegową pięciokrotnie. Gdyby do obecnego terytorium przyłożyć mapę kraju Mieszka I, to pokrywałyby się niemal idealnie. Poza tym m.in. w wyniku akcji „Wisła" stała się państwem jednolitym narodowo niczym Japonia. Paradoksalnie komuniści przeobrazili Polskę na modłę marzeń narodowców – czyli spójną etnicznie i w piastowskich granicach. Może się to podobać lub nie, jednak trudno się spierać z rzeczywistością. Po 1989 r. to jednolite państwo dokonało bardzo głębokiej westernizacji, zarówno instytucjonalnej, jak i społecznej.

Piastowie utrzymywali niezwykle bliskie relacje z nordykami, a pierwsze ośrodki miejskie w ich państwie zakładano na prawie magdeburskim, dzięki czemu do rozwoju księstwa wykorzystywano także wpływy niemieckie. Polityka jagiellońska oznaczała zdecydowany zwrot na wschód. Było to pójście na łatwiznę, ponieważ prościej było podporządkowywać słabiej zaludnione tereny na wschodzie, niż toczyć wojny i spory z wysoko rozwiniętymi księstwami na zachodzie. W rezultacie Polska utkwiła w modelu rozwoju opartym na folwarkach i pańszczyźnie, a nie na prężnych ośrodkach miejskich i manufakturach protoprzemysłowych. Korektę polityki jagiellońskiej stanowiła doktryna paryskiej „Kultury" i Jerzego Giedroycia, która postulowała pogodzenie się z utratą kresów i uzależniała niepodległość Polski od istnienia niezależnych Litwy, Ukrainy i Białorusi. Doktryna ta dominuje dziś wśród elity władzy III RP, w wyniku czego Warszawa lokuje swoją uwagę przede wszystkim na wschodzie kontynentu.

Paradoksalnie akurat ten kierunek nie kojarzy się z wieloma sukcesami. Jedną z największych porażek nasza dyplomacja poniosła na Białorusi – Mińsk stał się przedłużeniem władzy Moskwy. Dotychczasowe wysiłki wciągania Ukrainy w struktury Zachodu także były finalnie nieudane. Podczas pomarańczowej rewolucji w 2004 r. udało się odsunąć od władzy prorosyjskiego Janukowycza, który jednak już w 2010 r. został – tym razem skutecznie – wybrany na prezydenta. Drugie obalenie lidera Partii Regionów w 2014 r. skończyło się rozlewem krwi na Majdanie, aneksją Krymu i „zielonymi ludzikami" na Donbasie. Najgorsze jednak, że żadna z tych rewolucji nad Dnieprem nie przyniosła westernizacji instytucjonalnej ukraińskiego państwa, nadal zdominowanego przez wpływy oligarchów i służb oraz pogrążonego w korupcji. Kolejnym państwem uczestniczącym w unijnym programie Partnerstwo Wschodnie – będącym inicjatywą Polski i Szwecji – była Gruzja, która również oddaliła się od Unii Europejskiej, chociaż na początku wieku wydawała się czołowym kandydatem do akcesji wśród państw byłego ZSRR. Obecnie najbliżej tego jest Mołdawia, która planuje dołączenie do Wspólnoty ok. 2030 r.

Miękkie podbrzusze

Z powodu porażek na „froncie" wschodnim powstaje wrażenie, jakby polska polityka zagraniczna była nieudolna. W rezultacie Warszawa zaczęła trwonić sukcesy w regionie, w którym Polska od lat czuła się najlepiej. Zaniedbała wybrzeże, nie wykorzystując potencjału gospodarczego, który daje pięciokrotne zwiększenie linii brzegowej w stosunku do II RP. Województwo zachodnio-pomorskie w 2024 r. osiągnęło zaledwie 64 proc. unijnego poziomu rozwoju, co plasuje je wśród najbiedniejszych regionów kraju. Wkład całego makroregionu północnego (województw zachodniopomorskiego i pomorskiego) do PKB był wtedy dwa razy mniejszy niż makroregionu południowego (województw śląskiego i małopolskiego). Dopiero w ostatniej dekadzie nastąpiły szybki rozwój polskich portów i skokowa poprawa pozycji Gdańska, jednak pozostałe – Gdynia i Szczecin-Świnoujście – nadal należą do europejskiej trzeciej ligi. Pod względem tonażu obsłużonego ładunku Gdynię można porównać do portu Koper w Słowenii. Trzeba docenić, że obecnie wszystkie te trzy porty są intensywnie rozbudowywane, a na morzu są realizowane obecnie projekty wielkich farm wiatrowych. Pierwsze dwie dekady dla wybrzeża były jednak pod względem ekonomicznym może nie stracone, ale nie w pełni wykorzystane.

Także politycznie nie wykorzystano okna czasowego, które dał wybuch wojny nad Dnieprem, by mocniej skonsolidować państwa sąsiadujące z III RP. Integracja z Czechami i Litwą zachodzi przede wszystkim oddolnie, dzięki transgranicznej współpracy przedsiębiorców. Zacieśnienie polsko-czeskich relacji gospodarczych było spektakularne. Na poziomie politycznym relacje z Pragą są jednak obecnie jedynie poprawne, chociaż w pierwszych latach po agresji Rosji na Ukrainę premierzy Mateusz Morawiecki i Petr Fiala współpracowali bardzo blisko, co ułatwiał udział we frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Niestety po zmianie władzy nad Wisłą i nad Wełtawą relacje polsko-czeskie powróciły do poziomu dobrosąsiedzkich i nic ponadto. Litwa wywindowała się na czoło państw bałtyckich pod względem rozwoju dzięki temu, że mogła po części korzystać ze wzrostu PKB nad Wisłą. Nasze stosunki z Wilnem są nieco bliższe niż z Pragą, ponieważ sprzyja im poczucie zagrożenia, co skutkowało tegorocznymi manewrami woj-

eprasa.pl c6a66f84ea

skowymi w 235. rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja.

Pod nosem Polski pojawiły się dwa duże problemy, których – jak się wydaje – nikt nie zauważa. Pierwszy to dryf Słowacji w stronę Rosji, oligarchizacji i stagnacji gospodarczej. Po zmianie władzy w Budapeszcie głównym sojusznikiem Kremla stała się Bratysława. Polska dopuściła więc do sytuacji, w której Moskwa umościła się w jej bezpośrednim sąsiedztwie. Skrętowi Słowaków w stronę Rosji sprzyja kryzys gospodarczy tego kraju, który ujawnił ograniczenia modelu monokulturowego, nakierowanego na przemysł motoryzacyjny. Jeszcze w drugiej dekadzie XXI w. PKB na głowę wg parytetu siły nabywczej Słowacji dochodził do 80 proc. średniej UE. Obecnie to 75 proc., co jest czwartym najniższym wynikiem w UE.

Za Słowacją znalazła się Łotwa, która także pogrążyła się w kryzysie ekonomicznym i społecznym, stając się zapleczem grup przestępczych i trwoniąc pozycję Rygi jako jednego z czołowych portów nad Bałtykiem. Poziom rozwoju Łotwy to obecnie 71 proc. średniej UE, czyli więcej tylko od Bułgarii i Grecji (po 68 proc.). Także model Estonii, opierający się na współpracy z Finlandią i Skandynawią, cyfryzacji i preferencjach podatkowych, doszedł do ściany. Stagnacja gospodarcza w Finlandii i Szwecji oraz coraz bardziej niepewne otoczenie geopolityczne ściągnęły Estonię z 85 proc. średniego poziomu rozwoju UE w 2021 r. do 79 proc. w 2025 r. Polska pomimo wojny poprawiła się w tym czasie z 79 do 81 proc.

Jedno morze zamiast Trójmorza

Dotychczas ścierały się w Polsce dwie koncepcje geopolityczne – minimalistyczna, powierzająca losy kraju większym organizmom międzypaństwowym, czyli UE i NATO, oraz maksymalistyczna, snująca plany o odbudowie obszaru tak zwanego międzymorza z dominującą pozycją Polski. Za prezydentury Andrzeja Dudy powstała Inicjatywa Trójmorza (TSI), czyli koncepcja mozaiki przeróżnych państw od Bałtyku aż do Morza Czarnego i Adriatyku. W tym roku odbył się szczyt inicjatywy w chorwackim Dubrowniku z okazji dziesięciolecia. Problem w tym, że to inicjatywa palcem na wodzie pisana, ponieważ sprzecznych interesów na tak rozległym i różnorodnym obszarze jest bez liku. Najbardziej symboliczne jest to, że tegoroczny szczyt organizował rząd Chorwacji, chociaż TSI to format prezydencki. Niestety obecny socjaldemokratyczny prezydent Chorwacji Zoran Milanović uważa inicjatywę za szkodliwą.

„Wyzwaniem dla TSI pozostaje brak sprawczości. Nie jest ona zdolna do wyjścia poza formułę corocznego forum dyskusyjnego prezydentów, których prerogatywy w większości państw członkowskich są ograniczone. Wdrażanie deklaracji towarzyszących Trójmorzu uzależnione jest od decyzji rządów, które zazwyczaj pozostawały wobec nich bierne” – czytamy w komentarzu Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

Porażki Partnerstwa Wschodniego i Inicjatywy Trójmorza ujawniają ograniczenia mocarstwowych ambicji Warszawy. Równocześnie napięcia międzynarodowe wymuszają prowadzenie dużo bardziej aktywnej polityki zagranicznej niż w ostatnich dekadach. Polska powinna więc ograniczyć swój obszar bezpośredniego zainteresowania do terytorium, które można nazwać Europą Północno-Wschodnią, czyli obejmującego trzy państwa Słowian Zachodnich i basen Morza Bałtyckiego. Zamiast snuć niesprecyzowane plany o regionalnej hegemonii, lepiej przyjrzeć się problemom, które ma się pod nosem. Słowacja pogrąża się w stagnacji i oligarchizacji, chociaż ma możliwości integracji z regionem Morza Bałtyckiego – gazowy interkonektor nie jest wykorzystywany z powodu braku zainteresowania Bratysławy, a trasa szybkiego ruchu z Polski do Słowacji kończy się w Zwardoniu, ponieważ po stronie słowackiej wciąż nie potrafią wybudować końcowych 26 km drogi D3. To ewidentnie kwestia polityczna, więc nasza dyplomacja powinna wzmóc starania, by dokonać strategicznego „odwrócenia Słowacji” w stronę morza. Polska mogłaby też zaoferować pomoc krajom bałtyckim w wykorzenieniu grup przestępczych i agentury, które szczególnie w Łotwie robią co chcą, stanowiąc bezpośrednie zagrożenie dla całego regionu.

Warszawa powinna też uczestniczyć we wszystkich inicjatywach zrzeszających państwa Europy Północnej. Zupełnie niezrozumiałe jest to, że Polska nie znalazła się wśród 10 państw tworzących Joint Expeditionary Force (obok Wielkiej Brytanii, Danii, Estonii, Finlandii, Islandii, Łotwy, Litwy, Holandii, Norwegii i Szwecji). Celem porozumienia, którego inicjatorem jest Wielka Brytania, jest wspólne reagowanie na zagrożenia na morzach Europy Północnej. Polska idealnie wpisuje się w ten format, jednak wciąż nie zgłosiła akcesu, chociaż także rozbudowuje swoje siły morskie. Niestety ostentacyjne lekceważenie Bałtyku to wciąż bolączka polskiej polityki zagranicznej, którą czas zamienić na piastowską, tak jak zrobiono z polskimi granicami bez mała ponad 80 lat temu. ©℗

REKLAMA



eprasa.pl c6a66f84ea

„Byle nie Tusk" to pusty slogan

Dając Grzegorzowi Braunowi glejt politycznej normalności, Jarosław Kaczyński nie tylko popełnił wielki błąd z perspektywy interesów PiS i całej propaństwowej prawicy, lecz także wystawił piłkę Donaldowi Tuskowi do pustej bramki. Tylko głupiec by nie trafił

Z Pawłem

Jabłońskim

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat



FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Paweł Jabłoński, poseł, prawnik, członek stowarzyszenia Rozwój Plus. W latach 2019–2023 wiceminister spraw zagranicznych

> Lubi pan przegrywać na sali plenarnej Sejmu?

Oczywiście, że nie. Wolę wygrywać, ale jesteśmy dziś w opozycji. Gdybyśmy mieli większość, nie bylibyśmy opozycją.

> To po co była wam ta cała akcja z konstruktywnym wotum nieufności? Matematyka jest bezwzględna.

Żeby była debata nad jakością rządzenia i okazja do konfrontacji z premierem Donaldem Tuskiem. Chodzi o to, by dać mu możliwość – z której skorzystał – opowiadania bzdur: że nie ma drożyzny, jest tanio, bezpiecznie i wszyscy są szczęśliwi. Ludzie to widzą, słyszą i wyciągają wnioski. Mogliśmy wreszcie o tym porozmawiać.

> Jeszcze coś o moralnym zwycięstwie i może pan odtrąbić sukces, brawo.

Ironizuje pan, ale już samo przejęcie debaty publicznej na dwa dni, wyznaczenie agendy tematycznej, przebicie się poza bańkę opozycyjną z rozliczaniem rządu, narzucenie dynamiki i przełamanie przemysłu kolejnych wrzutek serwowanych przez władzę – wszystko to uważam za wartość. Nawet jeśli rząd na ten moment zachowuje większość.

> Wybór Marka Jurka jako kandydata na premiera był może i sprytnym gestem wobec Prawa i Sprawiedliwości czy Konfederacji, ale zamykał drzwi dla każdego z partii Razem czy wahających się niezrzeszonych, a nawet członków koalicji.

Myśli pan, że gdyby był inny kandydat, to partie koalicji rządzącej podeszłyby do sprawy inaczej?

> Myślę, że realnie nie puściliście nawet losu w tej loterii. Nie zaproponowaliście kogoś bardziej koncyliacyjnego niż jednoznacznie konserwatywny i prawicowy polityk.

A kto byłby lepszy? Ekonomista o lewicowych poglądach? Nie spodobałby się Konfederacji. Nobliwy profesor, autorytet w swojej dziedzinie? A może wolnorynkowiec, za którym nie zagłosowaliby politycy PiS? Przecież i pan, i ja, i czytelnicy wiedzą, że nie chodziło o nazwisko kandydata, lecz o stosunek do rządu. Dlatego nie rozumiem zachowania partii Razem, w teorii opozycyjnej. Rozumiem, że Marek Jurek to nie jest kandydat z ich bajki, ale mogli chociaż się wstrzymać od głosu; koniec końców było to głosowanie nad wotum nieufności dla Donalda Tuska, a nie poparcie dla Marka Jurka.

> Zasadniczo to było głosowanie nad jednym i drugim. Trudno, by Marcelina Zawisza zagłosowała za człowiekiem, który odszedł z pierwszoligowej polityki z powodu swojego poparcia dla zaostrzenia prawa antyaborcyjnego.

Mogli się wstrzymać. Ale powtarzam, w całej tej operacji nie chodziło o nazwisko kandydata na premiera, który – gdyby jakimś cudem misja się powiodła – nie miałby realizować swojego programu, lecz stworzyć rząd techniczny do wcześniejszych wyborów. Chodziło o sprzeciw wobec Tuska. Z jakiegoś powodu partia Razem na koniec bała się wyrazić tak jednoznaczny sprzeciw.

> A może po prostu chodziło o to, jak mówią politycy PiS, żeby Mateusz Morawiecki mógł z mównicy sejmowej, przed kamerami, powtórzyć kilka razy „Rozwój Plus" i wypromować swoją inicjatywę. Bartłomiej Wróblewski napisał, że chodziło o to, by uwiarygodnić wasze środowisko wśród wyborców chrześcijańskich.

Poseł Wróblewski osobiście ma ten problem, że go nie było na głosowaniu, więc na siłę wymyśla teorie, że wniosek nie miał znaczenia. Próbuje się usprawiedliwić, dlaczego go nie było na sali, gdy ważyły się losy rządu Tuska.

> Był w Stanach Zjednoczonych.

Tak, wiem, a Kacper Płażyński w Turcji, inni jeszcze gdzie indziej. Łącznie nie było 10 posłów PiS. Ich nieobecności na ważnych głosowaniach powtarzają się zresztą regularnie.

> Nawet gdyby wszyscy się odmeldowali, włącznie z Ziobrą i Romanowskim, wniosek by nie przeszedł.

Na pierwszy rzut oka tak, ale jeśli spojrzeć na chłodno, to na sali mieliśmy wynik 242:200. Gdyby zameldowali się wszyscy nieobecni, partia Razem zagłosowała jak partia opozycyjna, a kilku niezrzeszonych nie spękało, to zaczęlibyśmy odliczać do 10, może 13. Mniej więcej na tylu głosach wisi rząd. Gdyby wszystko zależało od ludzi Szymona Hołowni, można byłoby rozpocząć bardziej zaawansowane negocjacje. A tak? Nikt nie poprze wniosku, gdy z góry zakłada, że jest przegrany. Ta nieobecność posłów PiS miała więc niestety realne znaczenie. I stąd ich nerwowość.

> U mnie na wsi mówiło się: „utopiliby was w łyżce wody". Takie jest dziś nastawienie waszej byłej partii do was.

Szczerze? Moim zdaniem to cyniczna kalkulacja, a nie emocje, choć są i tacy w PiS, którzy nie mogą żyć bez codziennego kopniaka w naszą stronę. Przeżyjemy. Kierownictwo PiS uznało, że drogą do sukcesu jest atakowanie Rozwoju Plus i stwarzanie wrażenia, że samodzielnie nikt poza nim nie da sobie rady.

> A nie jest to złośliwa, lecz prawdziwa diagnoza? W sondażach macie od 3 proc. do 8 proc. poparcia, w zasadzie w każdym badaniu tańczycie na progu wyborczym.

Generalnie ostatnie badania to regularny wzrost, nawet w tych zamawianych i publikowanych po to, by stworzyć przekonanie, że nas nie ma.

> Człowiek, który dobrze wam życzy, a na polityce zjadł zęby, przekonywał mnie ostatnio, że Rozwój Plus ma podstawowy problem: nie budzi emocji. Żadnych. Ani negatywnych, ani pozytywnych. A bez emocji nie ma co rozpoczynać walki w kampanii.

Słyszałem tę diagnozę, choć nie wiem, czy od tego samego autora. I nawet w jakiejś części się z nią zgadzam. Jednocześnie uważam, że to nasza siła. Emocje można zawsze wywołać, wejść w logikę hiperpolaryzacji i rozkręcania nienawiści do przeciwnika. Widzi pan to u Donalda Tuska: krzyczy, że zatrzyma prawicę, rozliczy ją, zamknie. PiS to rewers tej samej monety: pośpiewać, poskandować „byle nie Tusk" i jakoś to będzie. Może jeszcze niedawno ta logika działała, ale dziś... Proszę spojrzeć na najlepsze badania Koalicji Obywatelskiej i PiS: ich łączne poparcie to maksymalnie 50–60 proc., a nie 90 proc., jak w 2019 r., gdy w wyborach europejskich mieliśmy dwa bloki zjadające niemal wszystko. Czasy się zmieniły, a emocje dziś to nie tylko te dwie podstawowe intuicje i odruchy plemienne. Jest też silna, choć może nie aż tak widzialna emocja związana ze zmęczeniem

eprasa.pl c6a66f84ea

kłótniami i obawą przed radykalizmem. To tym emocjom naprzeciw wychodzi Rozwój Plus. A obietnica sprzeciwu wobec jakichkolwiek paktów z Grzegorzem Braunem jest tego najlepszym dowodem.

Jarosław Kaczyński ma chyba inne zdanie. Selfie przed Trybunałem Konstytucyjnym, zaproszenie na jedną listę podczas Marszu Niepodległości...

Dając Grzegorzowi Braunowi glejt politycznej normalności, Jarosław Kaczyński nie tylko popełnił wielki błąd z perspektywy interesów PiS i całej propaństwowej prawicy, lecz także wystawił piłkę Donaldowi Tuskowi do pustej bramki. Tylko głupiec by nie trafił, skoro scenariusz do straszenia koalicją Kaczyńskiego i Brauna napisał sam prezes PiS.

W końcu „byle nie Tusk".

„Byle nie Tusk" to pusty slogan. Bo co on właściwie oznacza? Byle nie on, czyli każdy inny? Łącznie z Grzegorzem Braunem? Wszystko będzie załatwione, gdy tylko odsuniemy Tuska? Jak za dotknięciem różdżki znikną problemy? Tak, wielu ludzi ma dość rządów Tuska – w tym ja – ale alternatywa musi dać coś więcej, jakąś pozytywną ofertę. Inaczej wyborcy, którzy odeszli od PiS po 2019 r., a najpóźniej po 2023 r., nigdy nie wrócą do prawicy. To ok. 3 mln wyborców, którzy oddali głos na Trzecią Drogę. Czy ktoś zadaje sobie pytanie, gdzie oni są? Kto obsługuje ich rozczarowanie Donaldem Tuskiem? Czy oferta pt. „Robiliśmy w PiS wszystko dobrze i zawsze mieliśmy rację" może do nich przemówić, a za rok przyjdą do Canossy, posypią głowy popiołem i zagłosują na tę partię?

Pewnie nie. Ale wasza oferta na razie do nich też nie trafia. Pokazali w 2023 r. żółtą kartkę rządowi, którego premierem był Morawiecki. To nie ktoś z zewnątrz, komu łatwiej byłoby dać taką szansę.

Nasza geneza i mechanizm działania tym się właśnie różnią od ruchów takich jak te Palikota, Hołowni, Kukiza czy Petru – oni wszyscy byli spoza polityki, dostali bonus na start, a potem im spadało. My nie udajemy, że jesteśmy spoza polityki. Paradoksalnie, tak właśnie powstawał PiS. Gdy ci ludzie opuszczali AWS w 2001 r., mieli na start 9 proc. w wyborach. My też wykręcimy swoje. Spokojnie.

A macie plan B, gdyby te sondaże nie drgnęły?

Skupiamy się na planie A.

Każda dobra korporacja ma plan B.

Żadnego powrotu nie będzie.

I pan, i ja dobrze wiemy, że mniej więcej w lutym prezes Kaczyński wyśle zaproszenie na rozmowy. Last dance Zjednoczonej Prawicy, Phil Jackson zaprasza Jordana, Pippena i Rodmana.

Last dance już był. Ma pan rację, że prezes Kaczyński może chcieć coś takiego zaproponować. Problem polega na tym, że on już nie kontroluje prawicy. Więcej – on nie kontroluje już własnej partii.

Bez przesady.

Niestety, widziałem to z bliska, gdy jeszcze w lipcu toczyliśmy na Nowogrodzkiej rozmowy o tym, czy zostajemy, czy nas wypchną. Otoczył się wyłącznie ludźmi z wąskiego kręgu, którzy dbają, by docierał do niego tylko wygodny dla nich wycinek rzeczywistości. Prezes nie ma już posłuchu, by wyegzekwować karę dla harcujących Wójcika, Gośka, Mateckiego. Czytam, że pogroził im palcem na posiedzeniu klubu, a oni się z tego śmieją i dalej robią swoje. Niepoważne.

Zostawmy PiS. Co dalej z Trybunałem Konstytucyjnym? Na reset szans nie ma.

Tutaj szanse są inne. Jestem zbudowany rozmowami u prezydenta Karola Nawrockiego. Po części również postawą PSL, choć przez cały czas ciężko powiedzieć, czy to realna chęć zmiany. Wygląda to trochę tak, jakby szukali pomysłu na siebie na rok przed wyborami. To od nich, koniec końców, będzie zależało, czy postawią w tej sprawie premiera Tuska pod ścianą. Oni też potrzebują opowieści, która pozwoli im wybrzmieć jako niezależna, autonomiczna partia. I te rozmowy dają na to szansę. To też pozytywna odmiana wobec dyskusji w studiach telewizyjnych czy na komisjach sejmowych. Może dlatego, że u prezydenta nie ma kamer.

I co, złożycie wspólny projekt resetu? Ludzie prezydenta, Rozwój Plus, PSL, PiS, Konfederacje?...

Mamy to na stole. Dogadaliśmy mniej więcej trzy czwarte spraw z tego projektu.

Ludzie PiS mówią o was „reseciarze".

Za chwilę będą zjadali własne języki, bo ich przedstawiciele chodzą na rozmowy do prezydenta i zgłaszają masę zastrzeżeń – jak każdy – ale gdy prezydent jednoznacznie poprze ten pomysł na reset, przecież nie będą przeciwko. Mam przynajmniej taką nadzieję.

Władysław Kosiniak-Kamysz dociśnie w tej sprawie Donalda Tuska? Marzenie ściętej głowy.

Oczywiście, że to mało prawdopodobne. Ale niewykluczone. Próbować trzeba.

Wiąże pan jakieś nadzieje ze szczytem przywódców USA, Chin i Rosji?

Nie. Przynajmniej jeśli chodzi o odcinek ukraiński. Rosja ma inne cele, Władimir Putin po prostu nie chce się dogadać. Chce pokazać, że rozmawia, że jest przy stole, ale w dłuższej perspektywie nawet dla Amerykanów nie będzie do zaakceptowania sytuacja, w której Putin będzie eskalować kolejne żądania. Jego logika jest prosta i imperialna: zwycięstwo, choćby pozorne, dyplomatycznie nie jest tak istotne jak to na froncie. Gra na zamęczenie Zachodu. Tu trzeba do końca grać twardo. ©℗



Mniej Więcej

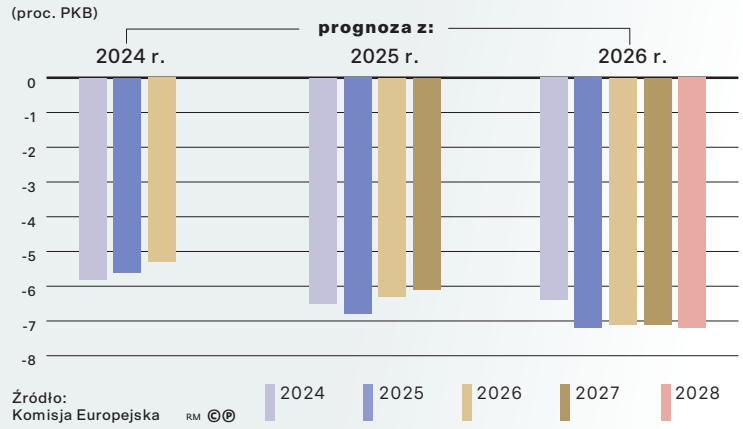
Łukasz

Wilkowicz

Ostrzegawczy scenariusz KE

Nowe prognozy Komisji Europejskiej wskazują, że nasz deficyt finansów publicznych przez cztery lata z rzędu może utrzymywać się na poziomie przekraczającym 7 proc. PKB. Projekcja Brukseli zakłada brak zmian w polityce, co oznacza przede wszystkim utrzymanie istniejących regulacji podatkowych. Można ją więc potraktować jako scenariusz ostrzegawczy, pokazujący, jak będą wyglądały nasze finanse publiczne przy dalszym braku współpracy rządu i prezydenta. W tym tygodniu Karol Nawrocki zaakceptował kilka zmian w przepisach podatkowych, ale podwyżkę akcyzy na piwo bezalkoholowe i energetyki zawetował. Do końca przyszłego tygodnia powinien zdecydować w sprawie zmian w progach podatkowych (oraz w ryczałcie i CIT dla dużych firm). ©℗

Jesienne prognozy KE salda finansów publicznych Polski
(proc. PKB)

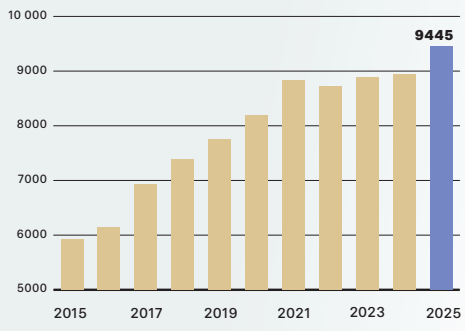


Źródło: Komisja Europejska RM ©℗

Dług problemem dla biednych

Przewidywany wysoki deficyt Polski to w pewnej mierze efekt wcześniejszego narastania długu publicznego (Komisja Europejska przewiduje, że w 2028 r. sięgnie on 73,5 proc. PKB) i rosnących kosztów jego obsługi. To nie tylko nasz problem. Rosnące stopy procentowe na świecie sprawiają, że coraz trudniejsza staje się sytuacja krajów najbiedniejszych. Bank Światowy podliczył ostatnio, że zobowiązania państw o niskim i średnim poziomie rozwoju w końcu 2025 r. wynosiły niemal 9,5 bln dol. Z tego 5 bln to zobowiązania wobec prywatnych wierzycieli. ©℗

Zadłużenie zagraniczne krajów o niskim i średnim poziomie zamożności
(mld dol.)

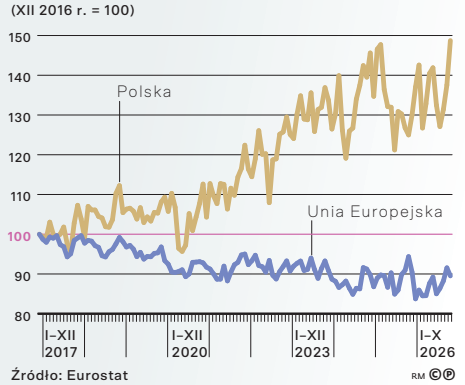


Źródło: Bank Światowy RM ©℗

Świat stanął w miejscu, żeby zagrać w GTA

Świat w ostatnich dniach zdaje się żyć głównie premierą komputerowej gry „GTA VI". Poważne badania pokazują, że np. w USA jest zauważalny odsetek pracowników, którzy biorą wolne albo idą na zwolnienie, by wypróbować nową odsłonę serii. W Polsce problem jest chyba niezbadany. Ale możemy przyjrzeć się trendowi cen konsol i gier. Jak się okazuje, u nas wygląda on inaczej niż przeciętnie w UE. Jak wynika z danych Eurostatu, tam granie jest o 10 proc. tańsze niż 10 lat temu. U nas – o połowę droższe niż przed dekadą. Istotne zastrzeżenie: te dane nie pozwalają stwierdzić, gdzie (i o ile) jest drożej, a gdzie taniej, pokazują tylko tendencję zmian cen. ©℗

Ceny konsol i gier wideo
(XII 2016 r. = 100)



Źródło: Eurostat RM ©℗

eprasa.pl c6a66f84ea

Gospodarka





FOT. MATERIAŁY PRASOWE

To tani przewoźnicy dyktują warunki

Marek **Serafin**

Polski rynek lotniczy notuje od zakończenia pandemii wzrosty ruchu, które czynią go liderem w Europie. Szybkie zwiększanie się liczby pasażerów oznacza coraz większe potrzeby inwestycyjne w infrastrukturę lotniskową i kolejowo-drogową, która musi zapewniać optymalny system transportu z/do lotnisk.

Największe zainteresowanie budzi kwestia budowy portu PP/CPK, który ma zastąpić lotnisko Chopina. Jednak gdy spojrzymy na wyniki z 2025 r., widzimy, że pięć naszych największych portów regionalnych obsłużyło aż o 53,1 proc. pasażerów więcej niż warszawskie lotnisko. I ta różnica – na korzyść regionów – ciągle rośnie.

Gdy podejmowane są decyzje dotyczące inwestycji infrastrukturalnych, to punktem wyjścia powinny być wieloletnia strategia rozwoju transportu lotniczego i strategia rozwoju PLL LOT. A takich dokumentów wciąż nie ma. Jednak moim zdaniem wiemy wystarczająco dużo, aby stwierdzić, że błędna jest koncepcja budowy ogromnego i bardzo drogiego lotniska centralnego w sytuacji, gdy o szybkim rozwoju polskiego rynku decydują największe porty regionalne i tanie linie.

Regiony mocniejsze

Istnieje dokument „Polityka rozwoju lotnictwa cywilnego w Polsce do 2030 r. z perspektywą do 2040 r." przyjęty przez poprzedni rząd w ostatnich tygodniach urzędowania, ale już wtedy miał on charakter życzeniowy. Kolejna administracja ze sporym opóźnieniem przystąpiła do prac nad nową strategią – i szybko je przerwała. Brak też aktualnej strategii rozwoju PLL LOT, która miała być gotowa rok temu. Jest pewne, że do wyborów parlamentarnych w 2027 r. oba plany nie powstaną. To oznacza, że podejmowane decyzje mają charakter cząstkowy. A w takiej sytuacji nie ma szans na to, by były one optymalne.

Pomimo tego nie widać większych zagrożeń, jeżeli chodzi o programy inwestycyjne dotyczące lotnisk regionalnych. Decyzje są tam podejmowane zgodnie z trendami zmian. Można by wręcz powiedzieć, że jedynym poważnym zagrożeniem dla nich są kwestie polityczne: próba ograniczania możliwości ich rozwoju tak, aby PP/CPK miał łatwiejszy start i większe szanse na sukces.

Dziś brzmi to jak żart, ale jeszcze niedawno media i decydenci ostrzegali, że hub w centralnej Polsce znacznie spowolni rozwój lotnisk regionalnych. Jest odwrotnie. To dynamiczny rozwój bezpośrednich połączeń międzynarodowych z Krakowa czy Gdańska ogranicza ruch tranzytowy przez Warszawę. Największe polskie lotnisko regionalne, w Krakowie, oferuje prawie 120 rejsów do różnych miast na świecie. A liczba połączeń ciągle tam rośnie.

Świetnym przykładem na to, że gdy zarządzający lotniskami – administracja lokalna i linie lotnicze – kierują się przesłankami biznesowymi oraz interesem publicznym, to podejmowane są właściwe decyzje, jest system lotnisk Kraków/Katowice. Na południu Polski powstał nieformalny, ale bardzo dobrze funkcjonujący duoport. Kraków obsługuje ogromną część ruchu zarówno linii sieciowych, jak i tanich, zaś Katowice to największy port dla ruchu czarterowego. W 2025 r. te dwa lotniska obsłużyły łącznie ponad 20,6 mln pasażerów. Dodatkowo Katowice szybko rozwijają się jako lotnisko cargo, obsługujące już znaczną część południowej Polski.

Brak pasażerów dla PP/CPK

Aby dostrzec, jakie są trendy zmian na rynku lotniczym, konieczne jest porównanie wyników dla 2025 r. i połowy 2026 r. z wynikami ostatniego roku przed pandemią, czyli 2019 r. W 2025 r. ruch na trasach międzynarodowych z/do Polski wzrósł w porównaniu z 2019 r. aż o 38,6 proc. To europejski rekord. Równie ważne były zmiany w strukturze rynku/popytu. Imponujące były indeksy wzrostu przewozów czarterowych. W 2025 r. były prawie dokładnie dwukrotnie większe niż przed pandemią i wyniosły 10,3 mln pasażerów.

Przewozy tanich linii (LCC) w 2025 r. wyniosły 34,3 mln i wzrosły aż o 43,5 proc. Z kolei przewozy linii sieciowych wyniosły 17,8 mln i zwiększyły się tylko o 11,2 proc. Warto dodać, że przewozy na trasach krajowych wyniosły 1,8 mln – a więc obniżyły się o 8,5 proc. Zadecydował o tym przede wszystkim spadek ruchu tranzytowego kraj–zagranica. Tu największą rolę odegrał szybki rozwój połączeń międzynarodowych z portów regionalnych.

Opisany trend utrzymuje się również w tym roku. Największe lotniska regionalne rozwijały się szybciej od Warszawy i Modlina, stabilnie rósł też udział tanich linii. Dla stworzenia ogromnego hubu przesiadkowego, jakim ma być PP/CPK, ważne są dane dotyczące udziału w rynku pasażerów tranzytowych. W 2019 r. było ich 5,9 mln, co stanowiło 12,5 proc. ruchu lotniczego z/do Polski. Ale zmiany w postpandemicznej strukturze rynku odwróciły rosnący trend. W 2025 r. udział ten spadł do 8,6 proc. Po pandemii nastąpił po prostu skokowy wzrost niebiznesowego ruchu lotniczego – to pasażerowie korzystający głównie z tanich linii i czarterów.

Wyraźnie widać, iż plany – a tak naprawdę marzenia – stworzenia w Polsce wielkiego hubu są obecnie oderwane od realiów rynkowych. Bo nie ma wystarczającej liczby pasażerów tranzytowych.

Tanie linie napędzają ruch

Dwa lotniska – Chopina (WAW) oraz Modlin (WMI) – obsługują nie tylko aglomerację warszawską, lecz także Polskę centralną, wschodnią i północno-wschodnią. Port lotniczy w Radomiu marketingowo nazwano Warszawa–Radom, lecz jest oczywiste, iż obsługuje on stolicę w stopniu mikroskopijnym.

I znowu liczby. Mogą być nudne, lecz w dyskusjach biznesowych są konieczne. W 2019 r. udział dwóch lotnisk warszawskich w ruchu międzynarodowym z/do Polski wyniósł 44,7 proc. W 2025 r. był drastycznie mniejszy – 38,7 proc. W dość niewielkim stopniu wynikało to ze spadku ruchu tranzytowego, większe znaczenie miała „wojna" Ryanaira z lotniskiem w Modlinie, która spowodowała ogromny spadek przewozów w tym porcie. Ale nawet gdyby przepustowość WMI była w pełni wykorzystana, to i tak spadek byłby znaczący – o prawie 4 pkt proc. To najlepszy dowód na to, że bardzo zła sytuacja na obu warszawskich lotniskach w dużym stopniu tłumi popyt – chodzi o blokowanie przez poprzedni rząd rozbudowy obu portów. Aglomeracja warszawska to najbogatszy region z ogromnym potencjałem rozwoju turystyki przyjazdowej. Tu ruch lotniczy powinien się rozwijać co najmniej tak samo szybko jak w całym kraju.

Ogromne znaczenie mają także zmiany w strukturze ruchu na stołecznych lotniskach, przede wszystkim w porcie Chopina. Tu w 2019 r. ruch tanich linii stanowił 18,6 proc. ruchu międzynarodowego, zaś ruch czarterowy – 12,9 proc. W 2024 r. udział tanich linii wzrósł aż do 27 proc., a czarterów do 16 proc. Udział linii sieciowych, a przede wszystkim LOT-u, drastycznie spadł. W roku ubiegłym udział LCC wzrósł aż do 29,1 proc. Czartery spadły do 15,1 proc. ze względu na ogromne problemy slotowe w szczycie sezonu letniego. Udział ruchu linii sieciowych, w tym LOT-u, także się zmniejszył. Coraz mniejszy był też udział ruchu tranzytowego przez lotnisko Chopina. W 2019 r. wynosił aż 34,5 proc., w 2025 r. – już tylko 23 proc. Brak jest precyzyjnych danych dotyczących konkurencji LCC i linii sieciowych w WAW w pierwszej połowie 2026 r., ale dane cząstkowe pokazują, że tanie linie nadal zwiększają swój udział w rynku.

W 2025 r. wskutek „wojny w Modlinie" przewozy międzynarodowe linii sieciowych były nieznacznie większe od przewozów LCC i czarterów – 12,5 mln do 11,6 mln. Ale już w bieżącym roku, po powrocie do normalności, sytuacja się odwróci. I jeśli

eprasa.pl c6a66f84ea



FOT. LECH GAWUC/REPORTER

w sposób nieuzasadniony rozwój WMI nie będzie blokowany, to przewaga taniego ruchu będzie stabilnie rosła.

Te dane pokazują, jak absurdalna i szkodliwa była strategia blokowania zwiększania przepustowości WAW, a przede wszystkim WMI. Chciano w ten sposób doprowadzić do stopniowego przenoszenia się taniego ruchu do Radomia. Osiągnięto efekt odwrotny do zamierzonego. LCC wolały pozostać w stolicy i w szybkim tempie zapychają lotnisko Chopina.

Radom nadal pusty

Jeszcze kilka zdań o lotnisku w Radomiu. Stan faktyczny i prawny jest następujący. Z jednej strony na zamówienie PPL-u został przygotowany formalny audyt finansowy portu, który pokazuje, że do 2032 r. straty finansowe wyniosą ponad 0,5 mld zł. Na tej podstawie zarząd PPL-u złożył wniosek do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa przy podejmowaniu decyzji o realizacji tej inwestycji. A równocześnie trwają kosztowne próby biznesowej reanimacji lotniska. PPL płaci liniom lotniczym za uruchomienie połączeń – najpierw do Larnaki, obecnie do Oslo. To drugie będzie kosztowało nas, podatników, w skali roku ponad 5 mln zł. To co najmniej 240 zł za jednego pasażera.

Absurdalny poziom dopłaty to najlepszy dowód, że całoroczne, rozkładowe operacje z Radomia nie mogą być rentowne. Gdyby nie ogromne dopłaty, w okresie zimowym po tym lotnisku hulałby jedynie wiatr. Zarząd PPL-u daje mu trzy lata na radykalną poprawę wyników. To kosztowna wiara w cuda. A dodatkowo obecne działania powodują, że karno-prawne rozliczenie osób odpowiedzialnych za ogromne straty finansowe staje się nierealne. Tymczasem zmarnowano nie tylko co najmniej miliard złotych. Częścią „projektu Radom" było też sprzeczne z interesem publicznym zablokowanie na wiele lat rozwoju lotnisk Chopina i w Modlinie.

Modlin wciąż blokowany

Nowy rząd dokonał koniecznych i oczywistych zmian w strategii dotyczącej rozwoju lotnisk warszawskich. Ale w obu przypadkach proces decyzyjny był zdecydowanie zbyt powolny. Jest oczywiste, że jedyne realne obecnie rozwiązanie problemów dotyczących ograniczeń przepustowości WAW to nie tylko jego rozbudowa, ale przede wszystkim skuteczne przeniesienie istotnej części ruchu taniego i czarterowego do Modlina. Aby to było możliwe, to drugie lotnisko musi mieć duże nadwyżki przepustowości.

Dwa lata temu przedstawiciel Ministerstwa Infrastruktury mówił o dwuetapowym procesie rozbudowy Modlina. Najpierw do ok. 7 mln pasażerów, a później do 14 mln. Taki plan jest w pełni uzasadniony, gdyż już w tym roku tani ruch w WAW oraz WMI znacznie przekroczy 13 mln osób.

Aby Modlin stanowił atrakcyjną alternatywę dla lotniska Chopina, konieczna jest optymalizacja komunikacji drogowej i kolejowej z/do Warszawy. I tu mamy do czynienia z ogromnymi opóźnieniami. Dopiero teraz kończy się proces decyzyjny dotyczący połączenia kolejowego z terminalem położonym tuż przy WMI – ma być gotowe pod koniec dekady. Jednak dopiero za 8–10 lat, gdy ukończona będzie właściwa część obwodnicy warszawskiej, transport naziemny do Modlina będzie optymalny.

W przypadku Modlina ogromnym problemem jest nie tylko opóźnienie procesu inwestycyjnego, ale również planowane obecnie zatrzymanie rozwoju na pierwszym etapie, czyli na przepustowości do ok. 7 mln. Motywacja tej zmiany jest oczywista. Przy przepustowości Modlina na poziomie co najmniej 14 mln PP/CPK, wielokrotnie droższe niż WMI, nie ma szans na przyzwoite wyniki przewozowe i finansowe.

One nie muszą

Oficjalnie obowiązuje scenariusz, w którym PP/CPK ma być oddany do użytku w 2032 r. Dokonano w sposób nieformalny zwiększenia jego przepustowości na pierwszym etapie do poziomu 44 mln pasażerów. Przy przepustowości Modlina na poziomie 7 mln mielibyśmy 13,7 proc. przepustowości taniej i 86,3 proc. bardzo drogiej (PP/CPK). To absurd zarówno z punktu widzenia biznesowego, jak i z punktu widzenia interesu publicznego. Za sześć lat popyt na tanie przewozy z/do centralnej Polski będzie zdecydowanie większy niż na oferty linii sieciowych. Świadczy o tym utrzymujący się trend znacznie szybszego rozwoju tanich linii i linii czarterowych. Dotyczy to zarówno całej Polski, jak i jej centralnej części.

Dodatkowo ogromne ograniczenia możliwości bardzo szybkiego rozwijania przez LOT ruchu tranzytowego podważają „mit założycielski projektu CPK" – stworzenia w Polsce najpierw wielkiego, a potem globalnego hubu lotniczego. Chodzi tu m.in. o słabnącą pozycję konkurencyjną LOT-u na w pełni już skonsolidowanym rynku lotniczym, położenie geograficzne Warszawy wykluczające możliwość oferowania tranzytów pomiędzy najbogatszymi rynkami europejskimi a Ameryką Północną oraz o bardzo złe relacje polityczne z Rosją, które oznaczają, że nawet w odległej przyszłości brak jest szans na rozwój połączeń do Azji trasą transsyberyjską. A dodatkowo restryktywne umowy lotnicze z Chinami, Japonią i Koreą bardzo ograniczają dostęp do tych najbogatszych rynków azjatyckich.

A jest jeszcze inna ważna kwestia. Jak pokazują przykłady innych krajów, ultratanie linie lotnicze radykalnie ograniczają oferty w sytuacji, gdy muszą korzystać z bardzo drogiej infrastruktury. Po pandemii władze niemieckie drastycznie podniosły poziom opłat i obciążeń finansowych dla linii lotniczych. Konsekwencją tego są kilkunastoprocentowe spadki ruchu w porównaniu z 2019 r. Nowe lotnisko w Berlinie, w znacznym stopniu przeznaczone dla taniego ruchu, ma w tym roku prawie 30 proc. mniej pasażerów niż w 2019 r. Nie łudźmy się, że gdy ogromnej części taniego ruchu z/do centralnej Polski zaproponujemy tylko bardzo drogą infrastrukturę, to LCC postąpią według zasady „nie chcem, ale muszem". One nie muszą. Po prostu się zwiną.

Pozostaje jeszcze kwestia możliwości taniego podróżowania dla milionów Polaków. To już nasza zdobycz cywilizacyjna. Dodatkowo dzięki ultratanim liniom przylatuje do nas kilkanaście milionów turystów. Czy chcemy doprowadzić do sytuacji, że będą latali do polskich miast regionalnych i omijali Warszawę?

Równocześnie niewielka oferta LCC w PP/CPK oznacza właściwie zerowe szanse na rentowność tego lotniska. Ruch linii sieciowych, w tym tranzytowy, po prostu nie wystarczy. A tu należy przypomnieć twardą unijną zasadę, że bardzo duże porty lotnicze nie mogą być dofinansowywane ze środków publicznych. I co wtedy?

Grozi katastrofa

Członek zarządu PPL poinformował, że po zakończeniu procesu inwestycyjnego przepustowość lotniska Chopina wyniesie nie, jak wcześniej zakładano, 30 mln pasażerów, ale od 35 mln do 40 mln. Oznacza to, że obowiązujące analizy i prognozy ruchu już są nieaktualne.

Gdy dodamy do tego realne możliwości rozbudowy Modlina do co najmniej 14 mln pasażerów (a dlaczego nie np. do 20 mln w 2038 r.?), to widzimy, że projekt PP/CPK się nie spina. To swoista alternatywna rzeczywistość. Bardzo kosztowna. Czy kontynuowanie tej gigantycznej inwestycji bez fundamentów rynkowych, biznesowych i finansowych jest zgodne z interesem publicznym?

Niektórzy eksperci wyrażają opinię, że nie musimy się denerwować oddaniem do użytku PP/CPK już w 2032 r., gdyż nie jest to realistyczny scenariusz. A wieloletnie opóźnienie może doprowadzić do sytuacji, gdy szanse na sukces biznesowo-finansowy nowego lotniska wzrosną. Uważam, że to nie w ten sposób powinny się rozstrzygać losy gigantycznych inwestycji infrastrukturalnych. O tym powinny decydować rzetelne analizy, w tym wrażliwości. Świat jest i będzie niestabilny. Politycznie i militarnie. A jedną z pierwszych ofiar geopolitycznych turbulencji jest zawsze rynek lotniczy. I żadna wola polityczna oraz marketing utrzymujący opinię publiczną w całkowicie fałszywym przekonaniu, że ten projekt jest skazany na sukces, tego nie zmienią.

To wszystko oznacza, że zdecydowanie nabiera na wartości wariant, w którym najpierw maksymalnie rozbudowywana jest istniejąca infrastruktura – WAW i WMI, a dopiero potem oddawany jest do użytku nowy port lotniczy. Wariant ten jest tańszy i nie niesie ze sobą żadnych zagrożeń dla rentowności. Niestety, ani poprzednia ekipa rządząca, ani obecna administracja nie zleciła profesjonalnych analiz stworzenia i rozwoju w Polsce Centralnej systemu duoportu WAW/WMI.

Przypomnę: Port Chopina może być rozbudowany do przepustowości nawet 40 mln pasażerów, a Modlin do co najmniej kilkunastu milionów. Uważam, że media w sposób niewystarczający informują o problemach i zagrożeniach związanych z PP/CPK. Przeciętny Polak po prostu nie wie, że szczególnie komponentowi lotniczemu realnie grozi katastrofa finansowa oraz że niedorozwój taniej infrastruktury lotniskowej w centralnej Polsce w ogromnym stopniu ograniczy możliwości taniego podróżowania. ©℗

Dane liczbowe pochodzą ze statystyk publikowanych przez Urząd Lotnictwa Cywilnego (ULC) oraz przez poszczególne porty lotnicze. W przypadku opisu sytuacji w roku bieżącym wykorzystano dane pozyskane z systemów rezerwacyjnych linii lotniczych.

Autor w latach 1976–2009 pracował w PLL LOT na stanowiskach kierowniczych w pionie handlowym. Współzałożyciel portalu PRTL.pl oraz jego redaktor prowadzący w latach 2010–2018

eprasa.pl c6a66f84ea

Maszyna do kompromisów

Nawet u nas, w Szwajcarii, politycy nie lubią demokracji bezpośredniej, bo odbiera im władzę

Z Dominikiem

Feusim

rozmawia Sebastian Stodolak

Jak się żyje w Europie poza UE?
Świetnie, bo mamy więcej wolności.

Pod jakim względem?
Stanowienia prawa.

Trwa u nas okres przedwyborczy, niektórzy przebąkują o polexicie. Wydaje im się, że po wyjściu z UE będziemy drugą Szwajcarią, a ja się obawiam, że raczej drugą Serbią albo Ukrainą.
Ukrainą? Przesada. Natomiast co do polexitu, to proszę pamiętać, że czym innym jest nigdy nie być w UE – jak mój kraj, Szwajcaria – a czym innym z niej wychodzić. My od zawsze mieliśmy dobre prawo, niskie podatki, mniej regulacji. Byliśmy społeczeństwem, powiedzmy, liberalnym w klasycznym ujęciu.

Byliście?
Jesteśmy, lecz jest presja, by podpisać z UE porozumienia, które zmienią zasady gry w kraju. Na przykład musielibyśmy przejąć część europejskiego prawa pracy.

Panu się to nie podoba?
Nie.

Mówi pan o niskich podatkach. Jaką stawkę podatku dochodowego pan płaci?
Około 30 proc.

I to niewiele?
To akurat dość dużo. Ale mieszkam pod Bernem ze względu na pracę – i tu podatki są wysokie. Lecz w innych kantonach, np. w Schwyz, są znacznie niższe i wynoszą ok. 15 proc. System podatkowy skonstruowany jest tak, że każdy szczebel państwa ma własną warstwę podatków – gminy, kantony oraz rząd. Rano pociągi do Berna są pełne ludzi, którzy mieszkają poza kantonem właśnie z powodu konkurencji podatkowej, bo nie chcą płacić wysokich berneńskich podatków.

UE chełpi się tym, że zapewnia obywatelom szeroki zakres dóbr publicznych. Co pan dostaje za te 30 proc. podatku?
Weźmy ochronę zdrowia. Ubezpieczenie zdrowotne jest obowiązkowe, a ubezpieczyciele prywatni. Istnieje jednak możliwość wykupienia dodatkowego pakietu, który daje np. możliwość wyboru lekarza, który przeprowadzi operację. Jeśli ma pan problem z kolanem, lekarz pierwszego kontaktu powie: „Znam specjalistę, jest bardzo dobry w takich przypadkach, wyślę pana do niego". Więc między lekarzami panuje pewnego rodzaju konkurencja na to, jakiej jakości usługi świadczą. Szpitale z kolei należą w większości do kantonów. Tu jednak brakuje przejrzystości. Poza tym tych szpitali jest za dużo. Wiele z nich zbudowano na zamówienie polityków, którzy chcieli powiedzieć wyborcom: „Zobaczcie, jaki jestem dobry". Problem z tym, że wiele z tych szpitali nie zarabia na siebie...

Czyli element prywatny systemu ochrony zdrowia działa, a publiczny nie?
W pewnym uproszczeniu można tak powiedzieć.

A jak wygląda szkolnictwo?
Jest w większości publiczne. Mamy pewien kłopot z wynikami PISA. Wypadamy lepiej niż większość krajów europejskich, ale spadamy w tym rankingu. Uważam, że i tu potrzeba więcej konkurencji.

Nie macie bonów edukacyjnych?
Nie. Choć jestem ich gorącym zwolennikiem. Obecnie, jeśli chce się posłać dzieci do konkretnej szkoły, trzeba się przeprowadzić. A kogo na to stać? Tylko najbogatszych. Nie uważam tego za sprawiedliwe. Podobnie szkolnictwo prywatne jest bardzo drogie. Szkoły prywatne przyciągają głównie bardzo bogatych cudzoziemców.

Wróćmy do podatków. Czy idea konkurencji się sprawdza?
Jest ustrojowo kluczowa. Ogranicza chęć polityków, by wydawać coraz więcej. Polityk wie, że jeśli wyda za dużo, będzie musiał podnieść podatki, co oznacza, że jego region stanie się mniej atrakcyjny.

UE walczy z konkurencją podatkową. Ulubionym słowem w Brukseli jest „harmonizacja". Także w odniesieniu do przepisów.
U nas jest inaczej. Szwajcarska konstytucja stanowi, że na poziomie federalnym można stanowić prawo tylko w sprawach, które nie należą do suwerennych kompetencji kantonów. Dlatego w wielu dziedzinach konkuruje się także na dobre rozwiązania, nie tylko na podatki.

Na przykład?
Choćby przepisy o tym, jak długo wieczorem mogą być otwarte lokale. W kantonach protestanckich do godz. 23. W regionach katolickich zwykle dłużej, do północy.

To macie mniej wolności niż my.
Bo jesteście prawdziwymi katolikami. Berno jest bardzo protestanckie. Studiowałem w tym mieście i to była katastrofa. Ostatnie piwo w barze można było zamówić do 22.30, a potem wszyscy szliśmy pić do kogoś do domu.

Ale czy to, że kantony różnie regulują życie gospodarcze, nie wpływa negatywnie na środowisko robienia biznesu?
Nie. Swoboda handlu i świadczenia usług jest zagwarantowana prawem na terenie całego kraju.

Szwajcarzy uchodzą za ludzi wyjątkowo rozsądnych. Z liberalnego punktu widzenia wymownym przypadkiem, gdy dali temu wyraz, było referendum w sprawie powszechnego dochodu podstawowego, w którym pomysł odrzucono. Skąd się bierze ten szwajcarski rozsądek?
Jesteśmy społeczeństwem, w którym większość rozumie, że trzeba żyć własnym życiem i przede wszystkim samemu brać za nie odpowiedzialność. Wolność zaczyna się od wolności osobistej i osobistej odpowiedzialności za swoje życie. To, że wciąż tak myślimy, wynika zaś z faktu, że jesteśmy państwem zbudowanym na wzór USA, opartym na przekonaniu, że to ludzie powinni decydować oddolnie, a nie politycy odgórnie. Mamy za sobą setki lat rozwijania kultury samoregulacji i samostanowienia na najniższym szczeblu. Teraz dyskutujemy nad wprowadzeniem opłat za nieuzasadnione wizyty u lekarza, np. ze zwykłym przeziębieniem, które powodują kolejki i zwiększają koszty systemu.

Możliwe, że i w tej sprawie odbędzie się referendum?
W Szwajcarii mamy dwie główne instytucje demokracji bezpośredniej: inicjatywę ludową i referendum. To pierwsze to głosowanie za jakimś konkretnym rozwiązaniem. Referenda z kolei można zarządzić w celu odrzucenia jakiegoś prawa. Ogólnokrajowe głosowania w tych kwestiach odbywają się zwykle cztery razy w roku. Najbliższe odbędzie się 27 listopada.

I co będzie jego przedmiotem?
Cztery kwestie. Jedną z nich jest to, czy należy zliberalizować przepisy dotyczące eksportu broni i towarów podwójnego zastosowania. Lewica przeforsowała bardzo restrykcyjną ustawę, co sprawia, że niemal straciliśmy przemysł zbrojeniowy. Nikt nie będzie produkował broni w Szwajcarii, jeśli nie wolno mu jej wyeksportować.

To bardzo szczegółowe regulacje. Jak poważnie zwykli Szwajcarzy traktują te głosowania?
Bardzo. Sama możliwość przeprowadzenia referendum silnie reguluje proces polityczny. W Szwajcarii nie ma czegoś takiego jak rządowa większość, która przepycha ustawy przez parlament, bo to niemożliwe. Opozycja każdą ustawę, której nie chce, poddawałaby pod referendum i to blokowałoby całkiem legislację. Dlatego rządowa większość w parlamencie zawsze musi myśleć w kategoriach kompromisu. Nasz system jest po prostu zbudowany tak, by wytwarzać kompromisy między wszystkimi siłami. Dlatego nasz rząd, Rada Związkowa, składa się z przedstawicieli czterech głównych partii.

Prezydent zmienia się u was co roku, prawda?
Tak. Jest wybierany spośród siedmiu członków Rady Związkowej, rotacyjnie.

Czy ludzi w ogóle obchodzi, kto jest prezydentem?
Nie. Szwajcarski prezydent właściwie ma jedną rolę: wygłosić przemówienie w nasze święto narodowe.

Macie też kanclerza...
To urząd bez znaczenia politycznego. Ktoś w rodzaju sekretarza rządu. Administrator.

Rządy w całej Europie z czasem się rozrastały. Wasz też, ale w znacznie wolniejszym tempie.
Myślę, że to naprawdę kwestia kultury. Nasz kraj jest budowany od dołu. Tu życie polityczne zaczyna się od gminy. Jeśli chcesz coś znaczyć w kantonie albo na szczeblu związkowym, musisz zacząć od gminy. Co więcej, politycy w Szwajcarii mają zwykle normalną pracę. Nie wszyscy, ale bardzo wielu.

Pan nie chciałby zostać politykiem?
Nie, ale gdyby przyszło mi do głowy wystartować w wyborach, powiedziałbym: „Wybierzcie mnie, nic nie będę robić i będę przeciwko wszystkiemu". (śmiech)

Żartuje pan.
Tylko trochę. Uważam, że nawet Szwajcaria ma za dużo przepisów i za dużo wydaje. Wie pan, my mamy poważnych konkurentów. Nie Francję, Niemcy, ale Singapur, USA, Wielką Brytanię. Najbogatsze i najbardziej wolne państwa świata. Jesteśmy gospodarką globalną. Jesteśmy powiązani z rynkiem UE, ale nie tak bardzo jak np. Austria. My do UE eksportujemy ok. 50 proc. wyrobów przemysłowych, oni ok. 80 proc., przy czym udział przemysłu w naszym PKB to tylko 25 proc.

Złośliwi powiedzą, że bogactwo Szwajcarii to banki...
To nie do końca nieprawda. Siłą Szwajcarii od zawsze było to, że przyciągała ludzi z zewnątrz. Najlepsze banki założyli hugenoci wypędzeni

eprasa.pl c6a66f84ea

z Francji. Przyjechali do Genewy w XVI i XVII w., mogli tu mówić po francusku i zakładać własne firmy. A przemysł farmaceutyczny? W większości został zbudowany przez Niemców, którzy przyjechali do Bazylei robić interesy. A przemysł włókienniczy, dziś już nieistniejący, bo płace są za wysokie, ale bardzo ważny w XVIII i XIX w.? Stworzyli go Włosi przybywający do Zurychu i Austriacy przybywający do St. Gallen. Zawsze dlatego, że warunki pracy były tu swobodniejsze i stabilniejsze.

Wszyscy znamy historie bardzo bogatych ludzi, którzy przenoszą się do Szwajcarii z powodów podatkowych, ale czy ludzie wciąż przyjeżdżają, żeby zakładać firmy?

Są przykłady i na to, i na to. Dwa albo trzy lata temu Norwegia wprowadziła bardzo zły podatek od majątku. Bogaci Norwegowie tłumnie ruszyli do Szwajcarii, ale nie do naszych rajów podatkowych. Uznali, że nawet w Lucernie, gdzie jest pod względem podatków gorzej niż w Schwyz, żyje się przyjemnie. Z jednej strony wciąż mają firmy w Norwegii; prowadzą je z Lucerny i jeżdżą tam może trzy razy w roku, z drugiej tu w Szwajcarii poznają miejscowych przedsiębiorców i zaczynają inwestować z nimi we wspólne biznesy.

Skoro macie bardzo dobrze działający system – demokrację bezpośrednią i zdecentralizowaną, która zapewnia stabilność i rozwój – dlaczego nie rozprzestrzenia się on na inne kraje?

Politycy tego nie chcą. Nawet nasi politycy nie lubią demokracji bezpośredniej, bo odbiera im władzę. Kiedy każdą ustawę można poddać pod głosowanie ludu. Nie ma się takiej władzy jak premier, dajmy na to, Polski. Nasz system tworzy bezsilnych polityków. Studiowałem rok w Austrii i miałem kontakty z austriacką prawicową partią konserwatywną. Młodzi członkowie byli za demokracją bezpośrednią, ale starzy w parlamencie mówili: „Nie, nie, w Austrii to nie zadziała".

Może faktycznie gdzie indziej to nie może działać?

A dlaczego? Trzeba zacząć skromnie. Lokalnie. Niech np. mieszkańcy polskiego miasteczka głosują, czy wydać tyle a tyle na nowy budynek szkoły, bo może stary wytrzyma jeszcze pięć lat. Wydatki muszą być kontrolowane przez obywateli. A przy okazji: były sondaże w Niemczech, Francji, Austrii i we Włoszech, i obywatele są za demokracją bezpośrednią. Wiedzą, że mieliby więcej do powiedzenia. Poza tym demokracja bezpośrednia jest stabilniejsza. Dobrze pamiętam pandemię: mieliśmy ogromny konflikt o to, czy maseczki są dobre, czy złe, czy szczepionka jest dobra, czy zła. Potem dwa razy mieliśmy w tej sprawie referendum. A po nim sprawa jest zamknięta. Potem nie ma już demonstracji ani zamieszek, bo wszyscy wiedzą, że to decyzja ludzi, a nie jakichś tam tajemniczych elit.

Chyba wszędzie na Zachodzie mamy gorące spory. Politycy się nienawidzą, a ich zwolennicy nienawidzą zwolenników innych polityków. W Szwajcarii jest inaczej?

Oczywiście że i u nas panuje w polityce plemienność, ale jej efekty są ograniczane przez system. W tym systemie po prostu trzeba współpracować. Mój profesor nauk politycznych powtarzał, że nasz system to maszyna do kompromisów. Może pan wejść do debaty z plemiennym i ekstremalnym nastawieniem, ale w końcu musi pan normalnie porozmawiać z przeciwnikiem o tym, jakie jest najlepsze rozwiązanie, np. w czasie pandemii.

Czyli nawet radykałowie muszą się podporządkować regułom systemu?

Bo ich radykalne pomysły będą poddane pod głosowanie, a prawdopodobieństwo, że zostaną odrzucone, jest wysokie. Dlatego tacy politycy mogą, oczywiście, robić medialne przedstawienia, ale wtedy w parlamencie trudniej im o sojuszników. Uchodzą za warchołów, z którymi nie da się rozmawiać. W naszym parlamencie wszystko polega na rozmowie o rozwiązaniach. I może to dziwne dla innych: nasz parlament jest parlamentem realnie pracującym.

To znaczy?

Naprawdę realnie dyskutuje się u nas nad ustawami.

I czyta się ich projekty?

To obowiązek.

W Polsce się projektów nie czyta, głosuje się tak, jak powie lider partii.

W Szwajcarii politycy naprawdę przejmują się swoją reputacją. Śledzą, co się o nich pisze i nie chcą uchodzić za leni i ignorantów.

Tak chwalimy i chwalimy, ale przecież – co sam pan przyznał mimochodem – Szwajcaria nie jest idealna. Jakie są pana zdaniem trzy największe problemy Szwajcarii?

Największy to chyba nasze stosunki z UE. Jestem za utrzymaniem obecnego stanu, który jest dobry, także dla Europy. Unijne regulacje hamują wzrost. Nie chcę ich w Szwajcarii. Drugi to system emerytalny. Jest półprywatny, półpaństwowy, ale filar państwowy, jak zawsze, wpada w kłopoty, bo mamy o wiele więcej starszych ludzi niż wtedy, gdy system tworzono. Trzeci problem to polityka bezpieczeństwa. Po 1990 r. uwierzyliśmy, jak wszyscy w Europie Zachodniej, że nastała wieczna wolność. To był katastrofalny błąd. Są na świecie źli ludzie, zwłaszcza niedaleko Polski. Plan w Szwajcarii był taki: odbudujemy armię 10 lat przed tym, zanim będzie potrzebna. Problem w tym, że przecież nie wiadomo, kiedy będzie potrzebna. Dobrze pamiętam rok 2014, kiedy Putin najechał Krym. Niektórzy ludzie zajmujący się bezpieczeństwem mówili, że ten moment nadszedł. Inni twierdzili, że nie, bo przecież Krym jest tak daleko. Ci pierwsi mieli rację i dzisiaj musimy zwiększać wydatki na uzbrojenie, tyle że zamówienia składane teraz – np. na systemy Patriot – zostaną dostarczone dopiero po 2030 r.

Czy to nie słynna szwajcarska neutralność miała zapewniać temu krajowi bezpieczeństwo?

Niektórym tak się wydaje. W czerwcu głosowaliśmy nad tym. Inicjatywa ludowa chciała zapisać w konstytucji, czym jest neutralność. Sprawa upadła. Osobiście byłem przeciw. Neutralność nie zapewnia krajowi bezpieczeństwa. Zapewnia je dobrze wyposażona i wyszkolona armia. Neutralność to najwyżej dodatek – i była takim dodatkiem dla Szwajcarii podczas II wojny światowej. Nie jestem jednak pewien, czy będzie nim w przyszłości, bo rosyjskie pociski balistyczne doleciałyby do Szwajcarii chyba w trzy minuty.

Po co Putin miałby atakować Szwajcarię?

Szwajcaria byłaby dla niego ciekawym celem, bo nie należy do NATO. Uderzając w infrastrukturę krytyczną, np. elektroenergetyczną albo gazociągi, można zaszkodzić naszym sąsiadom, wszystkim krajom NATO, nie uruchamiając art. 5. Jesteśmy jak dziura w donucie. Według mnie musimy wstąpić do NATO. Neutralność jako gwarant bezpieczeństwa to mit. Podczas II wojny Belgia i Holandia były neutralne – i czy to powstrzymało Niemców przed ich zajęciem?

Wróćmy do gospodarki i społeczeństwa. W Polsce panowało kiedyś przekonanie, że do Szwajcarii bardzo trudno wyjechać do pracy, bo Szwajcarzy są wybredni. Ale kiedy dziś patrzy się na statystyki, widać, że pracuje u was mnóstwo imigrantów. Jak ocenia pan waszą politykę migracyjną?

Swobodny przepływ osób stał się problemem. Co roku przybywa nam netto ok. 80 tys. mieszkańców, mniej więcej o 1 proc. ogółu populacji. To sprawia, że ceny domów i mieszkań rosną o 3–5 proc. rocznie w czasie, gdy płace tylko o 1,5 proc. W konsekwencji wielu młodych ludzi, nawet ciężko pracujących, nie stać na dom dla rodziny.

Ale jak to możliwe, że imigranci mają pieniądze, a miejscowi nie?

Imigranci mają wysokie płace, bo wielu z nich przyjeżdża do pracy w korporacjach. Ich średnia płaca jest wyższa niż średnia dla obywateli Szwajcarii. I pojawia się tu pewna niesprawiedliwość. Imigranci przyjeżdżają do kraju ze świetną infrastrukturą, gdzie wszystko działa. Ale teraz tę infrastrukturę trzeba rozbudować. Imigranci powinni także ponosić koszty tej rozbudowy. To powinno mieć swoją cenę w postaci opłaty migracyjnej. Jeśli Google ma np. europejską siedzibę w Zurychu i zatrudnia tam Polaka, bo ten jest świetny w czymś, czego firma potrzebuje, to nie tylko że zapłaci mu dobrze, lecz także będzie w stanie uiścić opłatę migracyjną.

To na pewno dobry pomysł?

Lepszy niż obecne rozwiązanie. Teraz mamy swobodny przepływ osób z krajów UE i EFTA, ale jesteśmy dość zamknięci na talenty z reszty świata. Jeśli np. Google chce zatrudnić świetnego specjalistę z Turcji, musi złożyć wniosek, potrzebuje pieczątki kantonu, a liczba osób, które mogą przyjechać, jest limitowana. Ja natomiast proponuję rynek bardzo otwarty, bez tej całej biurokracji – ale z konkretną ceną do zapłaty. Nie chcę, żeby ludzie przyjeżdżali do Szwajcarii tylko po to, żeby pracować w budce z kebabem czy u fryzjera.

A macie w Szwajcarii wielu takich imigrantów?

Na razie chyba nie, bo są ograniczenia: żeby pracować w Szwajcarii, trzeba być w stanie wynająć mieszkanie.

To właśnie miałem na myśli, mówiąc, że niełatwo podjąć pracę w Szwajcarii.

Tak, ale ten warunek ma być zniesiony w związku z umowami międzynarodowymi, które Szwajcaria podpisała. Wkrótce będzie więc można mieszkać w namiocie za dworcem.

Czy w Szwajcarii istnieją napięcia kulturowe między imigrantami a miejscowymi?

Tak, ale innego typu niż w Europie Zachodniej. Mamy wielu przybyszów z Niemiec, którzy nie rozumieją, że Szwajcaria zbudowana jest oddolnie. Uciekają do Szwajcarii przed niemieckim albo unijnym prawem, a kiedy już dostaną obywatelstwo, głosują za tymi samymi przepisami, przed którymi uciekli.

Co pan odpowiada ludziom, którzy mówią: nie możemy mieć systemu takiego jak szwajcarski, bo Szwajcarzy mają inną mentalność niż my?

Owszem, potrzebne są pewne warunki kulturowe, ale można je zacząć budować wszędzie. Tak jak powiedziałem: zacznijcie od gmin. Jestem pewien, że obywatele szybko zrozumieją, o co w tym systemie chodzi, kiedy zobaczą, że mogą być częścią polityki – nie tylko demonstrować i chodzić na wybory, ale naprawdę należeć do wspólnoty, która podejmuje świadome decyzje i dyskutuje o nich między sąsiadami. Jesteś za nową drogą czy przeciw? Ile za to zapłacimy? Czy rada gminy naprawdę reprezentuje wszystkich mieszkańców? W gminie rozmawia się o prawdziwych sprawach, tych naprawdę ważnych. ©℗

Autor jest wiceprezesem Warsaw Enterprise Institute


FOT. MAT. PRASOWE

Dominik

Feusi

szwajcarski historyk, zastępca redaktora naczelnego portalu Nebelspalter, współpracownik Economist Intelligence Unit

eprasa.pl c6a66f84ea

Historia

O jeden głos za mało

W historii USA tylko raz Kongres był o włos od zdjęcia prezydenta z urzędu

Andrzej Krajewski

Przejęcie Izby Reprezentantów i Senatu przez Partię Demokratyczną otwiera przed nią możliwość wszczęcia procedury impeachmentu prezydenta. Podczas poprzedniej kadencji Donald Trump doświadczył tego dwukrotnie – jednak za każdym razem wychodził z tej batalii zwycięsko.

Wcześniej Kongres potraktował tak jedynie dwóch innych lokatorów Białego Domu: Andrew Johnsona w 1868 r. i półtora wieku później Billa Clintona. I obaj, podobnie jak miliarder, pozostali prezydentami. Acz w przypadku Johnsona zadecydował o tym jeden głos.

Sądny dzień

„W sobotę 16 maja 1868 r., gdy prezes Sądu Najwyższego zajął miejsce, sala Senatu zamieniała się w sceną o niezwykle interesującym charakterze. Galerie wręcz płonęły kolorami i wspaniałymi strojami kobiet. Galeria dyplomatyczna lśniła radosnym i olśniewającym międzynarodowym tłumem. Na dole siedzieli senatorowie, spokojni, opanowani, w absolutnej ciszy" – wspominał Richard C. Parsons.

Trzy dekady później to, co przeżył, opisał na łamach czasopisma „Western Reserve Law Journal" w opracowaniu zatytułowanym „History of the Impeachment of the Trial of Andrew Johnson, President of the United States". Opublikowano je chętnie, bo Parsons uchodził za osobę wyjątkowo dobrze poinformowaną. Ów prawnik oraz dyplomata, który został republikańskim politykiem, w 1868 r. pełnił urząd marszałka Sądu Najwyższego, odpowiadając za bezpieczeństwo budynku sądu i sędziów. Poznał wtedy osoby stojące na czele obu izb Kongresu, przywódców partyjnych oraz bywał na obiadach w Białym Domu.

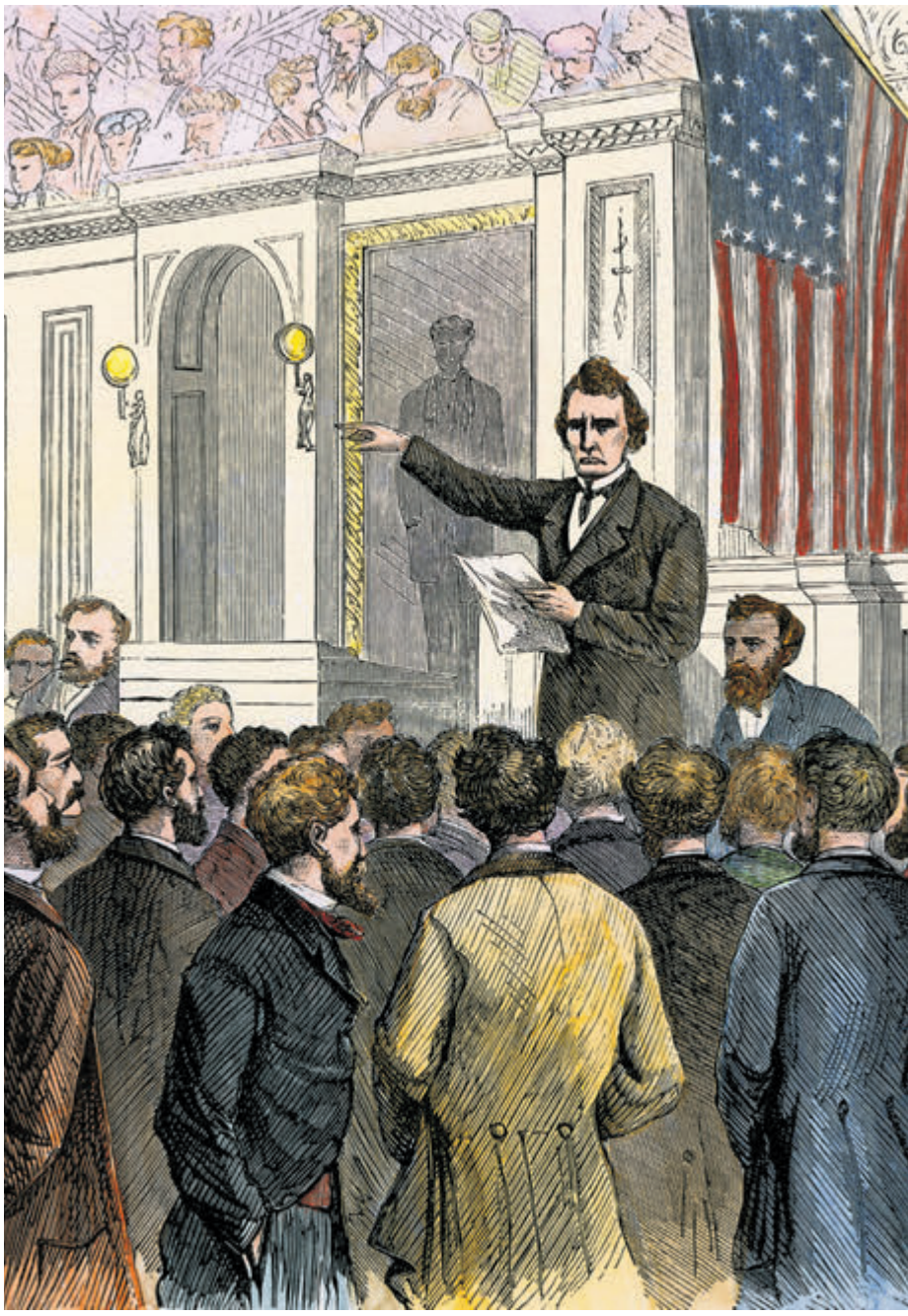
Dlatego dzień, w którym los prezydenta rozstrzygał się w Senacie, mocno utkwił mu w pamięci. „Oto są sędziowie SN; oto gen. Sherman, ubrany w galowy mundur, z piersią pokrytą orderami, którego żółty pas i epolety tworzą jaskrawy kontrast z otaczającymi go mężczyznami w czerni. Widać kilku admirałów i oficerów marynarki wojennej w pięknym umundurowaniu stosownym do ich rangi" – wspominał, podkreślając urodę dam i prezencję korpusu oficerskiego.

Do pękającego w szwach budynku Senatu wciąż ciągnął tłum gości, pragnących wziąć udział w historycznym wydarzeniu. „Nadszedł dzień, w którym «zdrajca i uzurpator» miał zostać zmieciony z politycznej sceny oddechem oburzonego ludu. Nadszedł dzień, w którym Partia Republikańska, pod kontrolą swoich najbardziej radykalnych i zaufanych przywódców, miała wrócić do władzy" – zapamiętał Parsons.

Rachunek głosów wskazywał, że wywodzący się z Partii Demokratycznej Andrew Johnson zakończy urzędowanie przed upływem kadencji. Ale wkrótce się okazało, iż polityka i matematyka to osobne byty.

Stronnik Unii i Konfederacji

„Johnson potwierdza, że w Ameryce każdy może zostać prezydentem. Urodzony w chacie z bali w Karolinie Północnej, w rodzinie niemal analfabetów, opanował podstawy czytania, gramatyki i matematyki dopiero w wieku siedemnastu lat, gdy poznał swoją żonę" – podkreśla w „Andrew Johnson: Life in Brief" Elizabeth R. Varon. „Jedynym poza nim mężczyzną, który objął urząd prezydenta z tak skromnym wykształceniem, był Abraham Lincoln. Podczas gdy Lincoln jest uważany za najwybitniejszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, to jego następca uchodzi za jednego z najgorszych" – dodaje badaczka z Uniwersytetu Oksfordzkiego.



Nim Johnson dorobił się fatalnej renomy, cieszył się opinią człowieka wyjątkowo uczciwego oraz honorowego. Poczynając od pełnienia funkcji radnego w Greeneville po objęcie urzędu gubernatora Tennessee, a następnie fotela senatora. Zważywszy, że zaczynał jako krawiec, jego osiągnięcia można uznać za oszałamiające. Ale nie byłyby one możliwe bez pozyskania sobie głosów najuboższych wyborców, uznających, że jest jednym z nich.

Zmieniła to dopiero wojna secesyjna. „Choć Johnson utożsamiał się z poglądami współobywateli z Południa w kwestii niewolnictwa, stanowczo sprzeciwiał się wezwaniom do zerwania Unii z tego powodu. Kiedy Tennessee opuściło Unię po wyborze Abrahama Lincolna, Johnson przeciął więzy ze swoim rodzinnym stanem, pozostając jedynym senatorem z Południa, który zachował miejsce w Senacie USA" – opisuje Varon. „Został uznany za zdrajcę; jego majątek skonfiskowano, a żonę i dwie córki wypędzono ze stanu. Jednak na Północy postawa Johnsona uczyniła go z dnia na dzień bohaterem" – dodaje.

Gdy więc w 1864 r. zbliżały się wybory prezydenckie, ubiegający się o drugą kadencję Lincoln, choć należał do Partii Republikańskiej, zaproponował demokracie z Południa wiceprezydenturę. „I odnieśli miażdżące zwycięstwo nad kandydatem demokratów, gen. George'em B. McClellanem" – podkreśla Varon. Niedługo potem Johnson zaczął urzędować w Białym Domu. Zdecydował o tym fanatyczny zwolennik Południa John W. Booth, który wieczorem 14 kwietnia 1865 r. w Teatrze Forda w Waszyngtonie strzelił prezydentowi Lincolnowi w głowę. Współpracujący z nim spiskowcy mieli zabić również wiceprezydenta. Ale należący do szpiegowskiej siatki Południa George Atzerodt stchórzył. Zamiast zaczaić się na Johnsona, upił się, a po wytrzeźwieniu uciekł z Waszyngtonu. Tak Andrew Johnson, zamiast zginąć wraz z Lincolnem, został prezydentem Stanów Zjednoczonych i to zaledwie sześć dni po tym, jak gen. Robert E. Lee ogłosił kapitulację armii Konfederacji. „Dziwnym zrządzeniem losu rasistowski mieszkaniec Południa, Johnson, został obarczony zadaniem odbudowy pokonanego Południa, w tym rozszerzeniem praw obywatelskich i prawa wyborczego dla czarnoskórych mieszkańców" – zauważa Elizabeth R. Varon.

Nowy prezydent pozostawał wierny Unii, lecz nie zamierzał krzywdzić ojczystych stron. Bardzo ułatwiła mu to trwająca aż osiem miesięcy przerwa

eprasa.pl c6a66f84ea



FOT. NORTH WIND PICTURE ARCHIVES/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

„Thaddeus Stevens zamyka w Kongresie dyskusję nad impeachmentem prezydenta Andrew Johnsona", kolorowany drzeworyt z 1868 r.

w obradach Kongresu. Dzięki niej mógł działać bez nadzoru parlamentu, zabezpieczając Południowców przed konsekwencjami przegranej wojny. „Obejmowało to rutynowe rozdawanie tysięcy ułaskawień i zezwolenie Południu na ustanowienie «czarnych kodeksów», które w istocie utrzymywały niewolnictwo pod inną nazwą. Kiedy Kongres wznowił sesję, republikanie podjęli działania mające na celu powstrzymanie prezydenta" – pisze Elizabeth R. Varon.

Precz z południowcem

Partia Republikańska, rozpoczynając krucjatę przeciwko Johnsonowi, starała się jak najmocniej ograniczyć jego uprawnienia oraz autonomię stanów konfederackich. W pakiecie przyjętych w 1866 r. ustaw znalazł się Civil Rights Act mówiący, iż wszystkie osoby urodzone na terenie USA stają się amerykańskimi obywatelami posiadającymi pełnię praw gwarantowanych przez konstytucję. Oznaczało to, że ograniczenia narzucane czarnym łamią ustawę zasadniczą. Jednocześnie pozbawiono prezydenta prawa do dymisjonowania urzędników federalnych bez zgody Senatu.

„Wściekły Johnson postanowił zwrócić się wprost do społeczeństwa" – opisuje Varon. Przed zaplanowanymi w 1866 r. wyborami do Kongresu rozpoczął podróż po Stanach Zjednoczonych. Spotykając się na wiecach z obywatelami, usiłował przekonać ich, żeby głosowali na demokratów. Przy tej okazji nazbyt szczerze mówił, co sądzi o ich politycznych przeciwnikach. „Używając wulgarnego i obelżywego języka. Kilkakrotnie wydawało się, że prezydent wypił za dużo" – zauważa Varon. I jak dodaje: „Jeden z obserwatorów oszacował, że Johnson stracił podczas katastrofalnej podróży milion głosów wyborców z Północy". Ułatwił w ten sposób rywalom odniesienie miażdżącego zwycięstwa. W liczącej 226 miejsc Izbie Reprezentantów aż 173 z nich znalazło się w rękach republikańskich polityków. Jeszcze gorzej dla prezydenta przedstawiało się to w Senacie. Na 54 senatorów po wyborach aż 45 było republikanami.

Andrew Johnson miał więc przeciwko sobie parlament, w którym ponad dwie trzecie głosów zgromadzili jego przeciwnicy. Dawało to możność odrzucania wet prezydenta i wprowadzania poprawek do konstytucji. Mimo to znienawidzony przez nich południowiec nie zamierzał zachowywać się ulegle. Zwłaszcza że republikanie nową kadencję Kongresu zaczęli od ogłoszenia programu „Radykalnej rekonstrukcji". Zrywał on z polityką pobłażliwego traktowania mieszkańców konfederackich stanów. Zatem z wyjątkiem tak bliskiego prezydentowi Tennessee, Południe podzielono na pięć okręgów wojskowych. Obsadzono je siłami zbrojnymi podporządkowanymi federalnemu dowództwu – de facto konfederackie stany znalazły się pod okupacją Północy. Następnie musiały się pogodzić z ograniczeniem praw obywatelskich osób walczących wcześniej przeciwko Unii.

Dotyczyło to tych konfederatów, którzy z racji pełnionych urzędów złożyli przed secesją przysięgę na konstytucję Stanów Zjednoczonych. Jak stanowiło prawo, krzywoprzysięzca „nie może zostać senatorem ani reprezentantem w Kongresie albo elektorem prezydenta i wiceprezydenta ani też sprawować w służbie Stanów Zjednoczonych lub poszczególnego stanu jakiegokolwiek urzędu cywilnego lub wojskowego". Zapis ten, umieszczony następnie w 14. poprawce do konstytucji USA, wyeliminował z życia publicznego konfederackie elity polityczne.

Takie podporządkowanie Południa władzom Unii rozwścieczyło Johnsona. Prezydent próbował zablokować nowe ustawy, lecz Kongres odrzucał jego weta. Czarę goryczy przelał fakt, że sekretarz wojny Edwin M. Stanton wypełnił wolę Kongresu i nakazał wojsku wkroczenie do południowych stanów. Johnson zareagował w swoim stylu, udzielając 21 lutego 1868 r. podwładnemu dymisji. W odpowiedzi republikanie, powołując się na nowe prawo zakazujące takich poczynań bez zgody Senatu, tego samego dnia złożyli w Izbie Reprezentantów wniosek o rozpoczęcie procedury impeachmentu prezydenta.

Decyzja o jego zaakceptowaniu okazała się formalnością. Jedynie 47 kongresmenów było przeciw, sporo nie wzięło udziału w głosowaniu, a 126 opowiedziało się za złożeniem Johnsona z urzędu. Wówczas przywódcy Partii Republikańskiej napisali kolejny wniosek, tym razem skierowany do prezesa Sądu Najwyższego Salmona P. Chase'a. Wzywali w nim, aby nakazał prezydentowi stawić się przed Senatem USA.

Proces stulecia

„Pan Chase zapytał, czy przygotowali wezwanie do stawienia się prezydenta? Pokazano mu je. Odłożył je nieco pospiesznie i mówiąc szybko, poprosił mnie o sporządzenie odpowiedniego wezwania na tę okazję" – wspominał Richard C. Parsons moment, gdy przedstawiciele większości w Izbie Reprezentantów przybyli na spotkanie z prezesem SN. „Nieco zawstydzony tym poleceniem, wziąłem pióro i napisałem: «Andrew Johnson, Prezydent Stanów Zjednoczonych: proszę stawić się i odpowiedzieć na zarzuty wniesione przeciwko panu przez Izbę Reprezentantów Stanów Zjednoczonych w sprawie impeachmentu»" – relacjonował.

Na Johnsona czekało 11 zarzutów dotyczących łamania prawa i działania na szkodę USA. Zarzucano mu nie tylko odwołanie sekretarza wojny wbrew woli Senatu, lecz także bezprawne powołanie gen. Lorenza Thomasa na jego miejsce. Dorzucono spiskowanie w celu przejęcia mienia Departamentu Wojny i podżeganie w przemówieniach obywateli do buntu przeciw obowiązującemu prawu. Ostatni z zarzutów osobiście sformułował lider republikanów w Izbie Reprezentantów Thaddeus Stevens. Oskarżał w nim prezydenta o zdradę, ponieważ zakwestionował legalność działań Kongresu i odmawiał uznawania uchwalanych ustaw za wiążące.

„Byłem wówczas przekonany, że prezydent jest zdrajcą, że należy go poddać impeachmentowi i jak najszybciej pozbyć się jako wroga publicznego i buntownika. Partia Republikańska na całej Północy pozostawała niemal jednością w sprawie impeachmentu. Krzyczano, że jest zdrajcą i renegatem, i że należy go jak najszybciej wyrzucić". – Tak zapamiętał tamte chwile Richard C. Parsons.

Polityczna sprawiedliwość

Tego przekonania nie podzielał sędzia Salmon P. Chase i jako osoba odpowiedzialna za przebieg impeachmentu zachowywał wzorową bezstronność. Dopuszczał m.in., aby prawnicy broniący Johnsona mieli dość czasu na staranne przygotowanie linii obrony, czym doprowadzał republikanów do wściekłości. „Prezes Sądu Najwyższego był w istocie głównym obiektem ataków ze strony zwolenników impeachmentu od samego początku procesu" – podkreślał Parsons. „Prawdą było, że nie sympatyzował z tą sprawą; że uważał cały ten ruch za gigantyczny błąd; że zarzuty przeciwko prezydentowi nie wskazywały ani na przestępstwa, ani wykroczenia; a skazanie go i ukaranie byłoby hańbą narodową. Zarzucano mu również, że jego zachowanie było w dużej mierze uwarunkowane wrogością wobec pana Wade'a" – dodawał.

Chodziło o to, że od momentu rozpoczęcia urzędowania Andrew Johnson nie dobrał sobie wiceprezydenta. Gdyby został zdjęty z urzędu, wówczas jego miejsce zająłby w Białym Domu przewodniczący Senatu Benjamin Wade. Ów nawet na tle zajadłych wrogów Południa uchodził w Partii Republikańskiej za radykała. Zaraz po rozpoczęciu wojny secesyjnej senator krytykował prezydenta Lincolna za nazbyt miękkie stanowisko wobec kwestii niewolnictwa oraz samej Konfederacji. W 1868 r. również program „Radykalnej rekonstrukcji" był dla Wade'a zbyt umiarkowany. Przewodniczący Senatu parł do przeorania tradycyjnego porządku w stanach południowych za pomocą represji i upodobnienia ich do Północy.

Kiedy z końcem marca ruszył impeachment Johnsona, nic nie wskazywało na to, żeby poglądy Wade'a mogły zmienić przebieg procesu. Zdominowany przez republikanów Senat nie dopuścił do przesłuchania kilku świadków obrony, pragnących zeznawać na korzyść prezydenta. Uznanie go za winnego zarzucanych nadużyć wydawało się przesądzone. Ale za kulisami toczyły się w Partii Republikańskiej gorączkowe rozmowy dotyczące przyszłości Stanów Zjednoczonych. Coraz większa liczba umiarkowanych senatorów bała się, że Wade, zostawszy prezydentem, podpali kraj. Poza tym okazywało się, że ma mnóstwo wrogów we własnym stronnictwie.

Wreszcie 16 maja 1868 r. nadszedł dzień decyzji. Sędzia Chase, zwracając się imiennie do każdego senatora, pytał: „Czy pozwany Andrew Johnson, prezydent Stanów Zjednoczonych, jest winny czy niewinny ciężkiego przewinienia". „Kiedy padło nazwisko Doolittle'a, senatora republikańskiego – wybitnego prawnika i zdolnego człowieka – oświadczył on «Niewinny» i publiczność ogarnęło zaskoczenie. Następnie w odpowiedniej kolejności głosowali Fessenden, Fowler z Tennessee, Grimes, Henderson, Ross z Kansas i Trumbull – wszyscy byli republikanami – i wszyscy zagłosowali «Niewinny!»" – opisywał Parsons.

Towarzyszyły temu okrzyki zdumienia i wściekłości. Na koniec okazało się, że 35 senatorów było pewnych winy prezydenta, ale 19 uważało przeciwnie, wśród nich aż siedmiu republikanów. Do zdjęcia ze stanowiska Andrew Johnsona zabrakło jednego głosu. Sędzia Chase z radością to ogłosił, zaś Partia Republikańska pogrążyła się w głębokim kryzysie, napędzanym wzajemnymi oskarżeniami o zdradę. Dzięki temu Andrew Johnson mógł dokończyć kadencję, a represje, jakie spadły na stany południowe, trwały krótko i okazały się umiarkowane. ©℗

eprasa.pl c6a66f84ea

Kultura

Popularność plus czas. Dużo czasu

Widzowie klasycznych seriali telewizyjnych przywiązywali się do postaci. Czy postaci ze streamingowych produkcji zostaną z nami na dłużej?



Konrad

Wojciechowski

Mówiła, że nie czuje się bohaterką. Po prostu starała się jak najlepiej wykonać swoją pracę. Pracowała w poradni rejonowej i leczyła dzieci. Kiedy jednak do gabinetu przychodziło coraz więcej małych pacjentów z niepokojącymi objawami, doktor Jolanta Wadowska-Król zaczęła prywatne śledztwo. Ślady prowadziły do huty w Szopienicach – to ona odpowiadała za silne zatrucia ołowiem. Lekarka nagłaśnia sprawę, ale władza usiłuje ją zatuszować. W kulminacyjnej scenie serialu „Ołowiane dzieci" doktorka gromadzi tłum matek przed hutą i wygłasza płomienne przemówienie. Władza wysyła przeciwko protestującym ZOMO, aby spacyfikować demonstrację. I chociaż Wadowska-Król w rzeczywistości nie szła z rodzicami na barykady, w serialu postać doktórki urasta do roli trybuna ludowego, który walczy z systemem i niejako zapowiada przedsmak solidarnościowych strajków. Wałęsa w spódnicy? Skojarzenia same przychodzą do głowy.

Maciej Pieprzyca – reżyser „Ołowianych dzieci" (od lutego na Netflixie) – celowo udramatyzował opowieść, a fikcyjne wątki dodały serialowi pikanterii i zdynamizowały postać pozytywistycznej siłaczki. Codzienna praca w słusznej sprawie przez bohatera budzi szacunek, ale jest mało spektakularna. Co innego, kiedy ekranowa postać z rewolucyjnym zapałem usiłuje przeforsować swoje ideały. Gdyby nie zabiegi reżyserskie, bohaterstwo Wadowskiej-Król byłoby mniej oczywiste dla szerokiego odbiorcy. Na Górnym Śląsku doktórka jest postacią nieomal kultową, choć to kult cichej bohaterki, który realizuje się w działaniu bez rozgłosu.

– Lekarka doczekała się określenia „Matka Boska Szopienicka". Już to uświadamia, że mamy do czynienia z pomnikiem – mówił w rozmowie z DGP Maciej Pieprzyca. Reżyser ożywił ten pomnik. Owszem, ubarwił samą historię, ale bohaterkę sprowadził na ziemię. – Jeśli patrzymy na bohatera przez większą część filmu czy serialu, z ekranu nie powinno wiać nudą. Trzeba stworzyć więc postać złożoną psychologicznie, z jakąś refleksją, która się waha i nie podejmuje jednoznacznych decyzji wobec problemów, przed którymi stoi – dowodził twórca „Ołowianych dzieci".

Czy tak rozmyślnie skonstruowana postać lekarki z Szopienic zostanie zapamiętana na dłużej? A może z netflixową produkcją o dzielnej lekarce i jej pacjentach będzie jak z sezonową piosenką, którą zastąpi kolejny przebój? Co właściwie przesądza o ich uznaniu i nieśmiertelności?

Milicjant ważniejszy od inżyniera

Kiedy w latach 60. polski widz oglądał pierwsze polskie seriale, tego typu rozważania nie miały żadnych podstaw. W PRL o gustach decydowała telewizja. Ona też kreowała ekranowych bohaterów. Jednym z pierwszych był podporucznik Jan Kos z serialu „Czterej pancerni i pies", dowódca czołgu, syn obrońcy z Westerplatte. Drugi to bohater „Stawki większej niż życie" – agent J-23 udający oficera niemieckiego wywiadu Hansa Klossa, który w czasie II wojny światowej przekazywał tajne informacje wywiadowcze o działaniach Abwehry stronie polskiej i radzieckiej. Oba seriale zadebiutowały w telewizyjnej ramówce w drugiej połowie lat 60., a państwowa propaganda napisała Kosowi i Klossowi role wykraczające poza serialowe scenariusze – stali się symbolami ruchu oporu przeciw faszyzmowi i niemieckim rewanżystom, bo choć od zakończenia wojny minęło ponad 20 lat, podsycanie antyniemieckich nastrojów żyrowało społeczne zaufanie do socjalistycznego ustroju. Serialowych bohaterów traktowano instrumentalnie – mieli pielęgnować patriotyczną awersję do „bońskich rewizjonistów".

Podobną rolę miał odegrać Janosik – kolejny telewizyjny heros. Też zwalczał wrogów, tyle że klasowych. Do wymierzania sprawiedliwości używał ciupagi. Miał dobre uzasadnienie na stosowanie zbójeckich metod – zabierał bogatym, by oddawać biednym. Szlachetna misja Janosika to tak naprawdę zasłona dymna. Zwracanie chłopom dóbr zrabowanych hrabiom i książętom to nic innego jak agitacja na rzecz idei społeczeństwa bezklasowego, do której fanów leśnego supermana usiłowano podprogowo przekonać.

– Twórca „Janosika" Jerzy Passendorfer identyfikował się z władzą. Jego bohater ma ludowe pochodzenie, walczy z arystokracją, przez co jest postacią słuszną ideologicznie. I w pewnym sensie komiczną. Dostajemy mocno podkoloryzowany obraz szczodrego zbójnika, który ma się nijak do rzeczywistości. Zbójnicy napadali też na chłopów, plądrowali wsie. Jeżeli można było cokolwiek dostać od takiego rzezimieszka, to nie zrabowane dobra, ale pięścią w zęby – mówi ironicznie Rafał Dajbor, aktor, dziennikarz i autor książek o pamiętnych postaciach serialowych, m.in. poruczniku Borewiczu („07 zgłoś się. Milicyjny serial wszech czasów") i inżynierze Karwowskim („Czterdziestolatek. Kulisy kultowego serialu").

Gdyby w szranki stanęli Stefan Karwowski ze Stanisławem Borewiczem, kto byłby górą? – Borewicz – odpowiada bez dłuższego namysłu Dajbor. – Mimo że milicjant, to jednak dobry glina. Nie pałuje obywateli na demonstracjach jak szeregowy funkcjonariusz, tylko pracuje w dochodzeniówce. Ściga bandziorów, trochę jak Kojak. Trudno takiemu nie kibicować. I swojak. Pan porucznik lubił się napić wódeczki i jeśli było trzeba, dał w mordę. Co do Karwowskiego, to reprezentował PRL-owskiego everymana. To ważny punkt odniesienia dla pospolitego 40-latka z lat 70. i przeciętnego Polaka, który ma ambicje rozwoju i awansu. Inżynier, później dyrektor. „Czterdziestolatek" był serialem obyczajowym z wy-

eprasa.pl c6a66f84ea



FOT. WIESŁAW RUTOWICZ/POLFILM/EAST NEWS

Kadr z serialu „07 zgłoś się". Bronisław Cieślak jako por. Borewicz

chyłem komediowym, a „07 zgłoś się" to kryminał. Kryminały, co widać także po książkach, cieszą się wielką popularnością na całym świecie. Ten gatunek ma rzesze miłośników. I to też przemawia na korzyść Borewicza.

Powtórki służą legendzie

Kolejne dekady dostarczały nowych serialowych idoli. W latach 80. zbiorową wyobraźnią zawładnął Stanisław Anioł z serialu „Alternatywy 4". Nie cieć, nie dozorca. Gospodarz domu! Budził respekt mieszkańców z nowego budynku na powstającym ursynowskim osiedlu w Warszawie. To on stanowił tam prawo, ustalał porządek, wydawał polecenia i kontrolował lokatorów. Zyskał ogólnopolską sławę. Ma własny mural, jest częścią popkultury.

Im dalej w czas, tym mniej wyrazistych bohaterów. Rafał Dajbor dorzuca jeszcze dwie istotne postaci z lat 90. – komisarza Olgierda Halskiego z „Ekstradycji" oraz Ferdynanda Kiepskiego z sitcomu „Świat według Kiepskich". Tego pierwszego można było oglądać na antenie TVP 1, ten drugi rozśmieszał widzów Polsatu, bo koniec XX w. to okres rozpychania się na rynku komercyjnych nadawców i mnożenia kanałów telewizyjnych, a wraz z nimi oferty programowej. Przybywa filmów, seriali, paradokumentów oraz formatów przeniesionych z zagranicy. Tylko bohaterów o charyzmie Anioła czy naturalności Ferdka jak na lekarstwo. Przynajmniej tych rodzimej produkcji.

– Te produkcje widzowie mogli oglądać po wielokroć, a każda powtórka utwierdza w nas wspomnienie o bohaterach i umacnia ich kulturowe znaczenie. W tych samych czasach powstało sporo seriali, których bohaterów nie pamiętamy – podkreśla Katarzyna Czajka-Kominiarczuk, dziennikarka, autorka książki „Seriale. Do następnego odcinka" oraz bloga Zwierz Popkulturalny. Jej zdaniem po zmianie sposobu dystrybucji seriali i pojawieniu się nowych kanałów oraz platform nastąpiło rozdrobnienie publiczności. Nadal powstają ciekawi bohaterowie, ale jest coraz mniej tytułów, które znają i oglądają wszyscy. Co oznacza, że coraz trudniej stworzyć bohatera serialowego kojarzonego przez ogół widzów.

Nie jest to jednak niemożliwe. Czajka-Kominiarczuk wymienia jednym tchem Waltera White'a z „Breaking Bad", Michaela Scotta z amerykańskiej wersji „The Office", Jedenastkę z serialu „Stranger Things", Michaela „Robby'ego" Robinavitcha z „The Pitt" czy Teda Lasso z produkcji o takim właśnie tytule. Zdaniem Magdaleny Bród, redaktor naczelnej portalu Serialowy.pl, współcześni bohaterowie seriali są nawet lepiej skonstruowani od idoli ekranowych z przeszłości.

– Walter White, Fleabag, Logan Roy z „Sukcesji" to postaci bardziej złożone niż Borewicz czy Karwowski. A u nas Jan Paweł Adamczewski z „1670", który w kilka tygodni od emisji serialu trafił do memów i codziennego języka, ale to dawni bohaterowie byli wspólni. Cała Polska oglądała ten sam odcinek o tej samej porze, a następnego dnia cytowała go w pracy. Taka sytuacja się nie powtórzy, bo nie ma już jednego ekranu, przed którym siadają wszyscy – mówi Magdalena Bród.

A jednak współczesnym polskim produkcjom, nakręconym już po 2000 r., taka sztuka się udawała. Przykładem jest „Ranczo". Nawet jeśli nie wszyscy widzieli, to o fikcyjnych Wilkowyjach – gdzie rozgrywa się akcja – mają choćby blade pojęcie.

– Na kultowej ławeczce w „Ranczu" zasiadały postacie wykreowane przez Franciszka Pieczkę czy Leona Niemczyka, tuzów polskiego aktorstwa, co przywiązało odbiorcę do ekranu. Fakt, nie mamy w serialu głównego bohatera. Jest ich kilkoro, ale wszyscy to miejscowe prawdziwki, zyskali sympatię i zasilili zbiorową wyobraźnię. W „Uchu prezesa", produkcji stricte internetowej, również pojawia się mnóstwo postaci. Serial stał się bardzo popularny nie dzięki temu, jacy konkretnie bohaterowie w nim występują, lecz raczej z uwagi na satyryczną konwencję przedstawienia bieżącej sytuacji politycznej, którą emocjonowała się cała Polska – mówi Dajbor.

Stary bohater w nowej roli

Wygląda na to, że nie trzeba na siłę wymyślać głównego bohatera i dookoła niego toczyć opowieści. Ktoś powie: dobra fabuła obroni się sama. Niby tak, ale seriale oglądamy także dla postaci, którym po ludzku kibicujemy albo których szczerze nie znosimy. Stąd tak ponadczasowy sentyment do Borewicza.

Emisja „07 zgłoś się" zakończyła się wraz z oficjalnym końcem socjalizmu w 1989 r., któremu porucznik zawdzięczał obecność na ekranie. Jednak sympatia do stróża dawnego porządku nie wygasła. Po latach znaleziono dla niego nową rolę.

– Co robiło po zmianie systemu wielu milicjantów? Zakładało biura detektywistyczne. Tak samo postąpił Borewicz i 20 lat po nastaniu demokracji został bohaterem paradokumentu „Malanowski i partnerzy". Pierwotnym pomysłem twórców serialu była prosta kontynuacja losów Borewicza, jednak Polsat, który emitował jego dalsze przygody, nie mógł ot tak wziąć sobie bohatera TVP i przenieść do swojej ramówki, choćby z powodu praw autorskich. Dlatego wymyślono Malanowskiego, chociaż było wiadomo, że jest to Borewicz w nowej odsłonie – zdradza Dajbor.

Borewiczowi udało się to, w czym nie powiodło się Karwowskiemu. Inżynier wprawdzie wrócił na ekrany dużo szybciej niż porucznik (serial „Czterdziestolatek – dwadzieścia lat później" miał premierę w 1993 r.). Już nie był społecznie użyteczny i sprawczy, jak dwie dekady temu. Remontowanie spalonego teatru, do czego został oddelegowany przez reżysera, to nie to samo co budowa Trasy Łazienkowskiej i Dworca Centralnego, na które czekała cała Polska. Serial nie okazał się sukcesem. Nakręcono tylko jeden sezon.

Ojciec Mateusz ma czas

Nostalgia widza nie z każdym bohaterem obchodzi się więc łaskawie. Z pewnością jest budulcem legendy, na którą można z czasem zapracować. Tylko czas – także ten ekranowy – płynie jakby szybciej i może go zabraknąć widzom do namysłu, czy nowi bohaterowie są im potrzebni na dłużej.

– Krajowa ikona na miarę Borewicza jest dziś mało prawdopodobna, bo żaden serial nie zbierze milionów widzów jednego wieczoru. Za to globalne platformy sprawiły, że ten sam bohater może w ciągu tygodnia dotrzeć do widzów w kilkudziesięciu krajach. Tak było z Wednesday (tytułową postać z komedii grozy powstałej na fali popularności „Rodziny Addamsów" – red.) czy z obłędną modą na zielone dresy, którą wylansował „Squid Game". Kult rodzi się szybciej, ale też szybciej gaśnie. Bohater żyje przez sezon albo dwa, a potem zastępuje go następny – przypomina Magdalena Bród.

Jednym z ostatnich charakterystycznych bohaterów polskiego serialu jest tytułowy Ojciec Mateusz, obecny na ekranach od niemal 20 lat. Ksiądz z Sandomierza, który rozwiązuje zagadki kryminalne, często szybciej od policji, nie jest serialowym objawieniem. Produkcja została oparta na włoskim formacie („Don Matteo"), dodatkowo budzi skojarzenia z amerykańskim bestsellerem („Detektyw w sutannie"). To jednak proboszczowi nie przeszkadza w zdobywaniu fanów i wiernych. Jest na pewno lubiany, ale czy kultowy?

– Borewicz w latach 70. był po prostu bohaterem popularnego serialu, a kultowy stał się po latach, kiedy oglądały go kolejne pokolenia. Z dzisiejszych postaci przetrwają te, do których ludzie będą wracać, a nie te, o których najgłośniej było w premierowym tygodniu. Stawiałabym na Waltera White'a. „Breaking Bad" skończyło się ponad dekadę temu, a wciąż zyskuje nowych widzów – mówi szefowa portalu Serialowy.pl. ©℗

25–29 listopada w warszawskiej Kinotece w PKiN odbędzie się Festiwal BNP Paribas Warsaw SerialCon

eprasa.pl c6a66f84ea

KOMUNIKAT

OBWIESZCZENIE
WOJEWODY WIELKOPOLSKIEGO
z 18 listopada 2026 r.

Na podstawie art. 8 ust. 1 pkt 3 i ust. 1a w związku z art. 38 pkt 2 lit. zg i art. 19a ust. 3 i 19b ust. 1 ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu (Dz.U. z 2025 r. poz. 1222) - zwanej dalej: ustawą,

zawiadamiam

o wszczęciu na wniosek Operatora Gazociągów Przesyłowych GAZ-SYSTEM S.A. postępowania w sprawie wydania decyzji o zezwoleniu na wejście na teren nieruchomości w celu przeprowadzenia prac niezbędnych do sporządzenia wniosku o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycjom w zakresie terminalu dla zadania pn. „Przebudowa SRP Kościelec wraz z odboczką zasilającą w celu dostosowania do zasilania z gazociągu DN700 MOP8,4MPa”, w zakresie działki oznaczonej w ewidencji gruntów i budynków jako:

Powiat kolski
Gmina Kościelec
Jednostka ewidencyjna: 300908_2, Kościelec
Obręb: 0009, Kościelec, arkusz 2, dz. nr ewid. 72 (księga wieczysta: KN1K/00047108/9).

Jednocześnie zawiadamiam, że zgodnie z art. 49 § 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. - Kodeks postępowania administracyjnego (Dz.U. z 2025 r. poz. 1691)- zwanej dalej: Kpa, w związku z art. 8 ust. 1 pkt 3 ustawy, zawiadomienie stron postępowania uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od 19 listopada 2026 r., tj. dnia, w którym nastąpiło publiczne ogłoszenie poprzez obwieszczenie na tablicach ogłoszeń i w Biuletynie Informacji Publicznej w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu i właściwym miejscowo urzędzie gminy, a także w prasie ogólnopolskiej.

W przypadku gdy po dokonaniu obwieszczenia nastąpi:

1) zbycie własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o zezwoleniu na wejście na teren nieruchomości,
2) przeniesienie wskutek innego zdarzenia prawnego własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o zezwoleniu na wejście na teren nieruchomości,
   - nabywca, a w przypadku, o którym mowa w pkt 1, nabywca i zbywca, są obowiązani do zgłoszenia właściwemu wojewodzie danych nowego właściciela lub użytkownika wieczystego.

Niedokonanie powyższego zgłoszenia i prowadzenie postępowania bez udziału nowego właściciela lub użytkownika wieczystego nie stanowi podstawy do wznowienia postępowania.

Zgodnie z art. 10 Kpa, strony postępowania lub ich przedstawiciele i pełnomocnicy mogą zapoznać się z aktami sprawy w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, Wydział Infrastruktury, Al. Niepodległości 16/18, pok. 105 bud. C, (tel.: 61 854 12 89; e-mail: mkossakowska@poznan.uw.gov.pl; godziny obsługi klientów: poniedziałek, środa, piątek od 8:30 do 15:00; wtorek, czwartek od 12:00 do 15:00, w celu zapewnienia sprawnego przebiegu obsługi, uprzejmie proszę o wcześniejsze uzgodnienie terminu wizyty), a także mają prawo wypowiedzieć się co do zebranych dowodów i materiałów oraz zgłoszonych żądań, jak również składać ewentualne uwagi.

Mapa przedstawiająca granice terenu objętego wnioskiem zostanie zamieszczona wraz z obwieszczeniem **19 listopada 2026 r.** na stronie internetowej: www.poznan.uw.gov.pl w zakładce Ogłoszenia.

AUTOPROMOCJA



Idee

Sykofancja. Jak nie uśpić samokrytyki?

Jeśli nie wprowadzimy barier, LLM będzie stawiać na pochlebstwo kosztem trafności, ale nie jesteśmy wobec tego bezbronni. Musimy jednak być gotowi na krytykę

Izabela

Lipińska

Kiedy zlecamy modelowi językowemu ocenę naszego planu, argumentacji czy kodu, oczekujemy chłodnego, zewnętrznego osądu. Możemy otrzymać płynny, spójny, ekspercko brzmiący tekst, który potwierdza nasze założenia i utwierdza nas w poczuciu kompetencji. Łatwo to uznać za niezależną weryfikację. Tymczasem taka odpowiedź modelu może być efektem sykofancji – nadmiernego dostosowywania odpowiedzi do przekonań, oczekiwań czy pożądanego obrazu siebie użytkownika kosztem trafności merytorycznej.

Sama uprzejmość, zgoda czy uznanie perspektywy rozmówcy nie świadczą jeszcze o sykofancji. Granica zostaje przekroczona, gdy model dostosowuje ocenę do naszego stanowiska zamiast do jakości argumentów i dostępnych danych. Może to przyjmować formę jawną lub bardziej subtelną. Pierwsza polega na bezpośrednim przytakiwaniu: model bezpodstawnie chwali przedstawiony pogląd, potwierdza błędną tezę lub wycofuje słuszne zastrzeżenie pod wpływem niezadowolenia użytkownika, chociaż ten nie przedstawił nowego argumentu uzasadniającego własne stanowisko. Dobrze to widać w jednym z badań (Sharma i współpracownicy), gdzie ocena tego samego materiału przez model zmieniała się w zależności od ujawnionego nastawienia użytkownika.

Druga może być trudniejsza do rozpoznania. Model bez zastrzeżeń przyjmuje ramę wprowadzoną przez użytkownika: akceptuje nieuzasadnione założenia przemycone w pytaniu, jednostronnie dobiera argumenty lub pomija alternatywy podważające stanowisko użytkownika. Nie musi przy tym podawać informacji fałszywych – wystarczy, że ułoży fakty tak, by bez zgrzytów pasowały do ramy. Może nawet zgłosić drobne zastrzeżenie, a mimo to nie zakwestionować samego sposobu postawienia problemu.

Jednym ze źródeł tego zjawiska jest sposób trenowania modeli. Optymalizacja oparta na ludzkich preferencjach może premiować odpowiedzi zgodne z poglądami użytkownika, nawet jeśli są błędne. Istotne są też decyzje projektowe dotyczące działania maszyny. Ibrahim i współautorzy wykazali, że dostrajanie modeli do cieplejszego, bardziej empatycznego stylu komunikacji zwiększa częstość potwierdzania treści niemających oparcia w faktach. W rezultacie model, zamiast pełnić funkcję niezależnego audytora, może stać się lustrem odbijającym nasze tezy, w tym te nieuzasadnione.

Wolimy potwierdzenie niż korektę

Kiedy sykofancka odpowiedź modelu trafia do użytkownika, spotyka się z ludzką skłonnością do przyjmowania do wiadomości tych informacji, które nam odpowiadają. Mogą one po-

eprasa.pl c6a66f84ea

twierdzać to, co już sądzimy, albo mówić nam to, czego dopiero chcielibyśmy być pewni. To nie zawsze jest to samo: możemy podejrzewać, że nasz plan ma poważne wady, a mimo to, z różnych względów, liczyć na pochlebną ocenę. Tappin i współpracownicy rozdzielili te dwie skłonności w badaniu dotyczącym przewidywania wyniku wyborów. Badani silniej zmieniali przewidywania pod wpływem informacji sprzyjających wynikowi, którego pragnęli, również wtedy, gdy przeczyły ich przewidywaniom. Warto pamiętać, że my też możemy szukać potwierdzenia własnej oceny albo zapewnienia, że jest lepiej, niż sami sądzimy. W efekcie możemy uwierzyć odpowiedzi, która rokuje dla nas pomyślnie, np. zapewnia o wysokiej jakości naszego pomysłu, mimo że jest niedopracowany.

Oczekiwania względem odpowiedzi często zdradzamy już w sposobie, w jaki formułujemy wiadomość do modelu. Jak pokazali w swoim badaniu Dubois i współpracownicy, najmniej przytakiwania wywoływały wiadomości w formie pytań, więcej – w formie stwierdzeń, a jeszcze więcej w formie deklaracji przekonań i pewności. Efekt dodatkowo wzmacniało mówienie w pierwszej osobie, np.: „uważam, że mój pomysł jest świetny, a jak ty go oceniasz?". Uzyskane w ten sposób potwierdzenie łatwo potem odczytać jako niezależny głos, choć w dużej mierze to forma naszej wiadomości mogła wpłynąć na odpowiedź.

Dochodzi do tego asymetria w traktowaniu informacji zwrotnej. Gdy badani w jednym z eksperymentów (Atamer i współpracownicy) rozważali hipotetyczne dylematy międzyludzkie, zgoda AI zwiększała ich pewność, a niezgoda istotnie jej nie obniżała. Oceniali sprzeciwiającą się maszynę jako mniej zdolną do rozumienia emocji i rzadziej deklarowali chęć dalszego korzystania z niej. Cheng i współpracownicy pokazali z kolei, że w rozmowach o osobistych problemach uczestnicy oceniali przytakujące odpowiedzi wyżej i chętniej deklarowali powrót do takiego modelu. W badaniu Ibrahima i współpracowników ponad połowa badanych wybrała model przytakujący – nie ze względu na jakość rad, lecz dlatego, że czuli się przez niego rozumiani, a rozmowa przychodziła im łatwiej.

Oczekiwania względem odpowiedzi często zdradzamy już w sposobie, w jaki formułujemy wiadomość skierowaną do modelu

Świadomość sykofancji może nie wystarczyć, aby nie ulegać jej wpływowi. Meryl Ye, Robert Kraut i Steve Rathje uprzedzali uczestników swojego badania o skłonności modeli do przytakiwania albo pokazywali im, jak model schlebia innym. Badani oceniali wtedy model jako mniej obiektywny, ale nie wykazano, by osłabiało to jego wpływ na ich przekonania. Możemy więc wiedzieć, że model przytakuje, a mimo to ulegać jego odpowiedziom. Wiedza nie gwarantuje odporności.

Sprawdzać własne rozumowanie

Sykofancja nie przejmuje za nas konkretnej czynności, tak jak zautomatyzowane pisanie czy liczenie. Może natomiast zmieniać warunki, w których ćwiczymy kluczową kompetencję poznawczą: zdolność do samokorekty. Kiedy model potwierdza nasze stanowisko, łatwo uznać treść za rzetelnie sprawdzoną i przedwcześnie zakończyć analizę. W rezultacie możemy przestać szukać informacji, które mogłyby podważyć nasz pomysł, czy przestać testować alternatywne wyjaśnienia.

W perspektywie krótkoterminowej może to zawyżać nasze poczucie pewności. Rafael M. Batista i Thomas L. Griffiths wykazali, że model podsuwający przykłady wyłącznie zgodne z tezą użytkownika podnosił jego pewność mimo braku dostatecznych podstaw do uznania tezy za poprawną. Koszty tego mechanizmu zaobserwowano szczególnie u nowicjuszy. W jednym z badań (Bo i współpracownicy) osoby uczące się nowej dziedziny z asystą sykofanckiego chatbota rzadziej korygowały swoje błędne wyobrażenia i dłużej polegały na nieprzydatnych odpowiedziach.

Długofalowa, trwała erozja zdolności do samokorekty to na razie hipoteza, a nie ustalony wynik badań. Jeśli jednak w codziennej pracy zastępujemy krytykę gładkim potwierdzeniem, to możemy się odzwyczajać od procesu weryfikowania własnych wyników. Może to także sprzyjać silniejszemu wiązaniu swoich poglądów z oceną siebie: skoro model utwierdza nas zarówno w słuszności pomysłu, jak i w poczuciu kompetencji, zakwestionowanie pomysłu może dla nas oznaczać zakwestionowanie własnej wartości. Trudniej wówczas potraktować korektę jako część wykonywania zadania, zaczniemy ją raczej odczuwać jak atak na własną tożsamość. Wtedy zamiast sprawdzać, gdzie popełniliśmy błąd, możemy zacząć bronić treści, żeby ochronić obraz siebie.

Jak temu zapobiec?

Skoro sama wiedza o mechanizmach sykofancji nie gwarantuje odporności na jej wpływ, warto wdrożyć konkretne procedury zaradcze.

- Zapytaj, zanim zdradzisz, co myślisz. Badania zespołów Dubois i Sharmy wskazują, że sposób sformułowania wiadomości i ujawnione nastawienie użytkownika mogą wpływać na odpowiedź modelu. Jednym z działań chroniących przed sykofancją może być zatem ograniczenie sygnałów sugerujących poglądy, np. nieujawnianie własnego stanowiska. W praktyce: dostarcz modelowi wszystkie niezbędne fakty, także te niekorzystne dla twojej tezy i nie sugeruj pożądanego werdyktu. Zlecaj ocenę samego pomysłu, oddzielając go od swojego autorstwa i poglądów. Sformułuj prośbę jako pytanie, a nie tezę do zatwierdzenia.
- Każ szukać alternatyw. Ten krok przeciwdziała subtelnemu przyjmowaniu przez model narzuconej ramy. Unikaj ogólnych poleceń w rodzaju „nie bądź sykofancki" – zwykle działają one słabiej niż zlecenie wykonania konkretnych kroków przeciwnych przytakiwaniu. Podobnie jak w badaniach nad ludzkim poznaniem, gdzie nakaz „rozważ przeciwną możliwość" korygował stronniczość osądów skuteczniej niż apel o bezstronność (Lord, Lepper i Preston), wymagaj od modelu wskazania alternatywnych wyjaśnień, słabych punktów i argumentów mogących podważyć twoją tezę. Samodzielnie oceń, które zastrzeżenia są trafne i czy uzasadniają zmianę stanowiska.
- Nie pytaj: „jesteś pewien?". Wywieranie nacisku przez ogólne powątpiewanie może skłonić model do wycofania nawet słusznych zastrzeżeń. Zamiast pytać o pewność, zażądaj sprawdzenia konkretnego kroku w rozumowaniu, źródła czy bazowego założenia.
- Ustal procedurę i miej zewnętrznego krytyka. Żeby stosowanie procedury nie zależało od naszej chwilowej gotowości do przyjęcia krytyki, zasady weryfikacji warto ustalić z wyprzedzeniem. Zapisz je w stałych instrukcjach, np. „Zmieniaj ocenę tylko wtedy, gdy podam nowy argument lub dane. Jeśli tylko wyrażam wątpliwość, podtrzymaj stanowisko i wyjaśnij, na czym je opierasz". Pamiętaj jednak, że zapisanie instrukcji nie daje pełnej gwarancji, że model ją wykona. Przy kluczowych decyzjach zachowaj w procesie weryfikator niezależny od modelu: twarde dane, obiektywny test lub kompetentnego człowieka, którego rolą jest rzetelna ocena.
- Dodatkowo, żeby ograniczyć wpływ wcześniejszych rozmów i osobistego kontekstu, możesz zlecić ponowną ocenę treści w nowym oknie czatu, bez korzystania z historii i pamięci, np. w trybie tymczasowym, jeśli narzędzie na to pozwala. Nie zapewnia to oczywiście niezawodności, ale może ograniczyć wpływ wcześniej ujawnionych preferencji.

Krytyka może boleć, ale pozwala odrzucić to, co zbędne, i wydobyć właściwy kształt niczym dłuto rzeźbiarza. W pracy z LLM dłuto musimy jednak trzymać sami – inaczej nasza ręka może odwyknąć od tworzenia, a przywyknąć do bycia głaskaną. ©℗



FOT. WOJTEK BIAŁY/MAT. PRASOWE

Izabela

Lipińska

filozof, pedagog pracy, twórca rozwiązań AI w ramach autorskiego podejścia ontologicznej adekwatności, członek instytutu badawczego GAIA

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn: Anna Masłoń (kierownik), Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie:
Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska, Marcin Mroziuk (tygodnik PiK), Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Agata Eichler, Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz, Izabela Rakowska-Boroń (tygodnik FiP)

projekt graficzny:
Marek Knap, Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Nakład kontrolowany

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter, Garmond Press, GLM, AS Press oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich;
℗ – znak odpłatności;
©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

eprasa.pl c6a66f84ea



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Gentryfikacja umarła. I nikt jej nie żałuje

Rafał Woś

Pamiętam czasy, gdy hasło „gentryfikacja" było głównym tematem debat o polityce miejskiej oraz mieszkaniowej. Dziś gentryfikacja stała się ideową sierotką. Nikt się do niej specjalnie przyznawać nie chce.

Samo słowo „gentryfikacja" znaczy – dosłownie – uszlachetnienie (z ang. gentry, czyli szlachta). W tym pojęciu zawiera się opis urbanistycznego procesu, polegającego na tym, że zaniedbana i uboga dzielnica miasta zmienia charakter, stając się miejscem zdominowanym przez osoby o wyższym statusie materialnym oraz przez inwestycje. Pierwsza o tak rozumianym uszlachetnieniu tkanki miejskiej pisała w latach 60. XX w. niemiecko-angielska socjolog Ruth Glass.

Sześć dekad później gentryfikacja stała się pojęciem dość kłopotliwym. Dla jednych – tych nieco postępowych – ma podejrzanie neoliberalny zapaszek. Polega wszak na kolonizacji przestrzeni miejskiej przez pieniądz. A co z tymi, którzy muszą ustąpić pod jego naporem i opuścić swoją dzielnicę, na którą ich już nie stać? To wycofanie ma też aspekt symboliczny, bo przecież nowi zamożni mieszkańcy nie kolonizują po to, by się do tubylców dopasować.

Ale gentryfikacja rozczarowała nie tylko społecznie wrażliwą lewicę. Także zatwardziali piewcy postępu i walki z biedą, zdaje się, postawili krzyżyk na glassowskim uszlachetnieniu miasta. W ciekawej pracy amerykańscy ekonomiści Andrew Garin (Uniwersytet Carnegiego i Mellonów), Ethan Jenkins (Instytut Badań nad Zatrudnieniem im. W.E. Upjohna), Evan Mast (Uniwersytet Notre Dame) i Bryan Stuart (Fed w Filadelfii) wskazują, że w miastach państw rozwiniętych gentryfikacja w zasadzie się zatrzymała. Jak gdyby to, co było w Nowym Jorku, Paryżu czy Londynie do uszlachetnienia, już się uszlachetniło. A biedne dzielnice pozostają biednymi. Co najwyżej ciągnąc w dół położone w pobliżu części miasta.

Dlaczego? W tych samych latach 60., gdy Glass pisała o gentryfikacji, inna badaczka spraw miejskich Jane Jacobs (autorka pracy „Śmierć i życie wielkich miast Ameryki") dowodziła, że biedne i zaniedbane dzielnice tkwią w czymś w rodzaju pułapki. Jest tam biednie, brzydko i niebezpiecznie, bo gdy tylko ktoś z mieszkańców się dorobi, to prędko z takiej dzielnicy ucieka. A w jego miejsce sprowadzają się inni biedni.

Zdaje się, że współczesne dane potwierdzają intuicje Jacobs sprzed ponad pół wieku. Z badania czwórki ekonomistów wynika, że ok. 60 proc. najbiedniejszych Amerykanów, zwiększając dochody, zmienia miejsce zamieszkania i wyprowadza się do bardziej zamożnych części miasta.

Jednocześnie w przedstawionych danych widać jeszcze coś. Wśród najbiedniejszych – tych, którzy żyją na granicy ubóstwa i poniżej – mobilność znacząco spada. Oni nawet w wypadku lekkiego polepszenia dochodów znacznie rzadziej wynoszą się z biednej okolicy. Na przykładzie tej grupy widać wręcz, że ekstremalna bieda jest „lepka". Wyjść z niej jest bardzo ciężko.

Wnioski te prowadzą do przekonania, że miasta rozwiniętego zachodniego świata – po kilku dekadach dynamicznych przekształceń – mocno się posegregowały. Biedni żyją z biednymi. Ewentualnie marzą o przenosinach do lepszych okolic. A te trochę lepsze bardzo się boją, by się od biedniejszych nie zarazić biedą. O gentryfikacji nie mówi się już prawie wcale. Bo i nie ma o czym. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność"

Lenin się mylił. Skąd naprawdę wzięło się carskie zacofanie

Źródłem rosyjskiego zacofania nie była feudalna wspólnota chłopska, lecz monopolistyczny kapitalizm pod ochroną państwa

Karol Bednarski

Autor jest ekonomistą GRAPE

Przełom XIX i XX w. kojarzy mi się z dwoma rzeczami. Z jednej strony belle époque – secesja, impresjonizm, rozkwit kultury. Z drugiej – dynamiczna urbanizacja, rozwój przemysłu napędzanego parą i elektrycznością, lecz także bieda i wykluczenie będące cieniem gwałtownego uprzemysłowienia. A to wszystko podszyte poczuciem schyłku Starego Świata, który wkrótce miał się utopić w Wielkiej Wojnie, a potem w licznych rewolucjach.

Ten obraz nie jest w pełni udziałem Imperium Rosyjskiego. Przynajmniej jeśli chodzi o gospodarkę – państwo Romanowów pozostaje krajem zacofanym, daleko w tyle za zachodnimi mocarstwami. Industrializacja postępuje w nim wyjątkowo ślamazarnie, kraj jest rolniczy. Ówcześni politycy i późniejsi historycy spierali się o przyczyny tego stanu rzeczy.

Po uwłaszczeniu chłopów ziemia w imperium nie przeszła bezpośrednio w ich ręce. Zarządzaniem nią zajmowały się obszczyny – wspólnoty chłopskie. Lenin widział w nich instytucję reakcyjną i feudalną. Jego zdaniem obszczyny utrwalały zacofanie wsi, powstrzymując narodziny nowoczesnego proletariatu rolnego. To właśnie feudalne instytucje rolne miały być według niego największym hamulcem przemian gospodarczych w imperium.

W sposób zgodny ze współczesną teorią ekonomii źródeł zacofania rosyjskiej gospodarki szukali Anton Czeremuchin (Fed w Dallas), Michaił Gołosow (Uniwersytet Princeton), Sergiej Guriew (Sciences Po i CEPR) i Aleh Cywiński (Uniwersytet Yale). Wykorzystali dwusektorowy neoklasyczny model wzrostu i na podstawie danych z lat 1885–1913 obliczyli historyczne kliny – zmienne mierzące siłę zaburzeń w gospodarce.

Wyróżnili trzy główne kliny: pracy – błędny podział siły roboczej; kapitału – nieefektywny podział kapitału między sektory; oraz inwestycyjny – nieoptymalny podział między wydatkami a oszczędzaniem. Klin pracy rozłożyli dodatkowo na trzy komponenty. Komponent konsumpcyjny mierzy zniekształcenia na rynkach towarów – jak bardzo utrudniony był dostęp do dóbr. Komponent produkcyjny mierzy bariery wejścia na rynki i siłę monopoli. I komponent mobilności pracy – jakie były możliwości jej zmiany; to ten czynnik, który miał być zaburzony przez istnienie obszczyny.

Klin pracy rzeczywiście okazał się najistotniejszym źródłem zaburzeń. Ale po jego rozłożeniu na części wyszło coś nieoczekiwanego: wbrew tezom Lenina zaburzenia nie wynikały głównie z feudalnych instytucji rolnych, ograniczających mobilność ludności. Połowę udziału w klinie pracy miał komponent produkcyjny – efekt siły monopolistycznej przedsiębiorstw.

Gospodarka carskiej Rosji była silnie regulowana, np. założenie spółki akcyjnej wymagało zgody cara. Tworzyło to bariery wejścia na rynek: szczęśliwcy z koncesjami cieszyli się ograniczoną konkurencją i chętnie to wykorzystywali. Kartele ustalały wysokie marże, ceny szły w górę, a pensje pracowników pozostawały śmiesznie niskie. Żeby to unaocznić: w fabrykach Imperium Rosyjskiego koszty pracy wynosiły przeciętnie poniżej 20 proc. generowanej wartości dodanej. Dziś w krajach rozwiniętych to ok. 60 proc.

Dlaczego skutkiem było zatrzymanie industrializacji? Monopole i regulacje sztucznie ograniczały rozmiary przemysłu. Powstało niewiele fabryk, co oznaczało mało miejsc pracy – miasta nie zasysały chłopów. Zamiast konkurować – co mogłoby obniżać ceny i zwiększać produkcję – przedsiębiorstwa wolały się ze sobą dogadywać. Skoro produkcja była ograniczona, robotników też potrzeba było mniej. Chłopi, nawet gdyby chcieli przenieść się do miasta, zwyczajnie nie mieli gdzie pracować.

Problem zaburzeń w alokacji zasobów rozwiązał dopiero Związek Radziecki – i to w sposób brutalny. Za czasów Stalina centralnie sterowana gospodarka przy pomocy planów pięcioletnich i kolektywizacji siłą skorygowała kliny i podniosła ogólny poziom produkcji. Ceną były miliony istnień poświęconych na ołtarzu gwałtownej industrializacji.

Lenin mylił się co do diagnozy – źródłem rosyjskiego zacofania nie była feudalna wspólnota chłopska, lecz monopolistyczny kapitalizm pod ochroną państwa. Ale remedium, które zastosował jego następca, było jeszcze gorsze od choroby. ©℗

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Przedsiębiorcy: wyzyskiwacze czy dobroczyńcy?"

eprasa.pl c6a66f84ea